Z Zakładowej Biblioteki Publicznej
Dz. 13.XI 68

Dziś w numerze: Chodzi o metodę • Po Marsylii bez przewodnika • Alarm nie tylko dla kierowców • Mój przyjaciel Filon • Łódzki teatr propozycji • Spotkanie • Wiersze • Felietony • Recenzje

odgłosy

MIEJSKA KOMISJA RADY NARODOWEJ W ŁODZI

37 (566)
15. IX. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Nad Wilią i Niemnem

Łatwo powiedzieć — byłeś w Wilnie, przejechałeś spory szmat Litwy, cóż więc bardziej prostego, siadaj i pisz. Rzeczywiście siadam do maszyny, nie wiem który już raz, tylko jakoś zacząć nie mogę, nie umiem wybrać sposobu pisania, trudno mi rozstrzygnąć co ważne jest w szerszym znaczeniu, co zaś ważne tylko dla mnie. Niewątpliwy rozwój Republiki Litewskiej we wszystkich dziedzinach, rozbudowa Wilna, harmonijna, nowoczesna, plącze mi się z czymś ogromnie osobistym. Bo oto, już jako człowiek siwiejący, po wielu latach, znowu jestem na dawnej ulicy Kościuszkowskiej, idę ku placowi katedralnemu i dalej dawną Mickiewicza ku mojej starej szkole na Łukiszkach, nazywanej imieniem Lelewela. Widzę rzetelny wysiłek w przekształceniu Wilna w nowoczesny ośrodek przemysłowy, a przecież równocześnie wracam w lata, o których głośno dziś w każdej polskiej szkole, gdyż nie można mówić o naszej literaturze bez nich — Mickiewicza, Słowackiego, Klaczki, Syrokomli, o polskiej nauce bez Lelewela, Poczobuta, Grodka, czy Śniadeckich.

Do Wilna przyjechałem z Moskwy w towarzystwie Wiktora Borysowa, który opiekuje się pisarzami polskimi odwiedzającymi Kraj Rad, a także przekłada z naszej literatury. Witali nas na niezbyt pięknym dworcu z epoki brzydkich fasad — pisarze litewscy: Aldona Liobyte, czołowy tłumacz naszej literatury na język litewski, Wytautas Sirijos Gira — poeta, lekarz i wielki miłośnik Wilna, mówiący znakomicie po polsku, podobnie jak i pani Aldona, wreszcie młody, sympatyczny Algimas Bernotas, także poeta i urzędujący właśnie wiceprezes pisarzy litewskich. Od razu dwie wielkie niespodzianki. Pierwsza to autentyczny, znakomity kindziuk na śniadanie, polany kwasem chlebowym, jaki tylko na Litwie można wypić, a druga niespodzianka — podróż do Kowna.

WENUS CAŁKIEM PROWINCJONALNA

Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.

Tak pisał Mickiewicz w „Grażynie" o Kownie. I ja tam byłem. Przez Litwę jedzie się jak we śnie. Mijamy miejscowości znane jakby z dzieciństwa, z lektur, wyobrażeń, mijamy lasy stare, jeziora i jakoś mimo woli człowiek mówi sam do siebie — to mogło dziać się tu, tylko tu, wymarzone miejsce dla romansów i ballad. Litwa jest tu czysta, schludna, skrzętna, chodzi po polach z zakasanymi rękawami i pracuje solidnie. Stawia nowe domy z wdziękiem, nie brakuje jej rozmachu. Przed Kownem — morze. Spiętrzono Niemen, z dna świeżo wyleczonego Morza Kowieńskiego podniesiono kościół, stoi teraz na górze.

Stajemy w Kownie w gospodzie „Pod Czarnym Krukiem". Na piętrze mieszkała kiedyś ona, całkiem prowincjonalna Wenus, piękna doktorowa Kowalska, a on naprzeciwko, w skromnej stancji przygotowywał lekcje, zwane seksternami i próbował wbić co nieco wiedzy w zakute iby żmudzkie. Jego belferka nie miała chyba większego znaczenia, jego twórczość nabrała tu rozmachu. Gospoda piękna, w starolitewskim guście, wyłożona drzewem, surowa, ławy i stoły jak dla myśliwych, wielka beczka kwasu, szaszłyk po litewsku, chłodniki, kielich wina nie sprzyjają poważniejszym rozważaniom, sam nie wiem czemu, ale wdaliśmy się w dyskusję na temat miłości, tego przedziwnego romansu wychowanka Uniwersytetu Wileńskiego z doktorową. W Kownie obowiązuje wersja nie nazbyt Mickiewiczowi przychylna. Ona jedna kochała go naprawdę, do grobowej deski, coś jak pani Walewska Napoleona, odprowadziła do kibitki, chciała za nim jechać na krawędzie świata, a on zmiennik był, niby to szalał za Kowalską, podziwiał jej urodę, kiedy zarumieniona parzyła kawę podczas kuligu, rozbił łeb świecznikiem rywalowi, panu Nartowskiemu z Galicji, chciał z nim ciąć się na szable, a równocześnie wzdychał

Dalszy ciąg na str. 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Sześćdziesiąt dwa i reszta

Można to nazwać inwazją, można tylko popularnością. W każdym razie nikt nie zaprzeczy, że tego lata nad Bałtyk zjechało więcej ludzi niż w latach poprzednich. „Żegluga Gdańska" na 20 regularnych liniach i kilkunastu rejsach wycieczkowych sprzedawała dziennie średnio po 25 tys. biletów. Najwięcej wycieczkowiczów płynęło z Gdańska, Sopotu i Gdyni do Jastarni i Helu. Kasy biletowe PKP podległe DOKP Gdańsk sprzedały w połowie lata już o 20 proc. biletów więcej niż w całym ubiegłym roku. Jednej sierpniowej nie dzieli na molo w Sopocie sprzedano 40 tys. wejściówek.

Liczba osób spragnionych łodu i słońca, którzy przyjechali wypoczywać na plażach Zatoki Puckiej i Helskiej Mierzei znacznie przekroczyła milion. Potrafili to wykorzystać ludzie obrotni i np. w Gdyni w prywatnym pokoju za nocleg trzeba było płacić... 200 zł. W Jastarni, Chałupach czy Kuźnicy łóżko na jedną noc kosztowało 25 i 30 zł. Tłok panował na polach namiotowych i w campingach. Zmotoryzowani i piesi turyści rozbijali namioty w każdym wolnym i jako tako od wiatrów osłoniętym miejscu. Nie przerażał ich brak wody do picia i groźba... rabunku. Zdarzało się, że na wypoczywających pod namiotami napadali... zmotoryzowani złodzieje.

— Był czas, kiedy tu prawie nikt nie przyjeżdżał — wspominał Paweł Lisek, przyglądając się błękitowi nieba pociętemu białymi pasami — śladami przelotu odrzutowców. — Za pokój z łazienką płaciło się wtedy 15 zł i dzika plaża była naprawdę dzika. Był to rok 1951 lub 1952. Nie pamiętam już. Skleroza.

— E, jaka tam skleroza. Przed wojną to była skleroza, jak zapomniałeś, to już na zawsze — przekomarzał się Heniuś Kosakiewicz i niecierpliwie spoglądał na zegarek. W południe obaj zrywali się z piasku i szli na godzinny spacer brzegiem morza. Kosakiewicz wierzył w zbawienną moc spacerów, a Liskowi po prostu nudziło się.

— Przed wojną tu był prawdziwy kurort — wspominał Lisek brodząc po wodzie. — Kosztowało drogo i mało kto mógł

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Agencje utrzymują na czołowych miejscach w swych serwisach wiadomości z Czechosłowacji. Uważny czytelnik czy też słuchacz odnajdzie w nich wiele elementów normalizowania sytuacji. Zaaprobowanie przez Plenum KC KPCz, które obradowało w rozszerzonym składzie, porozumienia moskiewskiego, odłożenie zjazdu, przeprowadzenie w składzie Prezydium zmian kadrowych (choć bardzo kompromisowych), a następnie plenarne obrady KC KP Słowacji i rozumne w czasie ich trwania wystąpienie I sekretarza — Husaka, codzienne ukazywanie się już większości gazet, wydawanych przez przeorganizowane zespoły redakcyjne, zakazanie działalności prawicowych klubów — wszystko to daje początek nowemu etapowi w życiu Czechosłowacji. Etapowi, który przebiega pod znakiem porządkowania życia i eliminowania z niego następstw niekonsekwencji w pracy kierownictwa politycznego. Że miały one miejsce i jak były poważne — przyznał na wspomnianym Plenum KC KP Słowacji G. Husak. Zacytujmy:

„...do sierpnia niedoceniane były dwie grupy problemów. Nie doceniališmy znaczenia czynników międzynarodowych, wpływu i realnej wagi czynników zewnętrznych na naszą sytuację wewnętrzną.

Wśród innych problemów, które nie były doceniane, należy wymienić pewien brak konsekwencji w naszej własnej polityce wewnętrznej, niekonsekwencję w ustosunkowywaniu się i w krokach podejmowanych wobec prawdziwie antysocjalistycznych sił, wobec różnych klubów, takich, jak „klub 231" i jemu podobne".

Następuje więc teraz r e f l e k s j a, w ślad za nią nawoływanie do wysokiej społecznej dyscypliny, rozumnego i konsekwentnego działania, powrotu do normalnego trybu życia. Jest to tendencja, mająca z każdym dosłownie dniem większą liczbę zwolenników, tendencja realizacji postanowień z Moskwy.

Ale jest i druga, zmierzająca do zakłócenia za wszelką cenę procesów normalizacyjnych. Siły antysocjalistyczne nie złożyły broni, prowokują wrogimi napisami i ulotkami, kolportują plotkę polityczną, posługują się oszczerstwami i kalumniami. Te siły korzystają nadal ze wsparcia ośrodków zachodnich, które nie chcą pogodzić się ze swą przegraną.

Znamy już wiele faktów politycznego i materialnego wsparcia dla sił kontrrewolucji w Czechosłowacji, wiele jeszcze z pewnością odsłoni przyszłość. Kiedy więc zawalił się plan, tak misternie budowany, wyłączenie Czechosłowacji z socjalistycznej wspólnoty — zamierza się maksymalnie utrudnić stabilizację, bo tylko chaos i anarchia mogą sprzyjać wrogiej robocie. Ciągle imperialistyczne ośrodki łudzą się bowiem, że uda się im uratować chociaż część programu kontrrewolucji.

Równocześnie próbuje się rozpętać w stosunkach międzynarodowych psychozę zimnowojenną. Kanclerz Kiesinger domaga się „tchnienia życia w zmęczony i ospały tryb funkcjonowania NATO". Co oznaczają te słowa — łatwo rozszyfrować: wzmożenia zbrojeń. W tę samą nutę uderzył na konferencji państw nieatomowych w Genewie minister Brandt. Jego słowa o rezygnacji Bonn z „dążenia do narodowego posiadania broni atomowej" są jednocześnie potwierdzeniem, że na drodze p o n a d n a r o d o w e j Bonn wciąż chce ubiegać się o jej posiadanie.

Postulaty zimnowojenne wysuwane są również w Waszyngtonie. Sztaby wojskowe potęgują żądania finansowe, aby zapobiec jakimkolwiek redukcjom militarnego budżetu. Rozważane są możliwości ustawowych ograniczeń w stosunkach handlowych USA z krajami socjalistycznymi. „Tymczasowo" odłożono debatę nad ratyfikacją układu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej... W ten sposób wsteczne siły zamierzają zamknąć drzwi do procesów odprężeniowych. Mimo to — licząc się z opinią własnego kraju i międzynarodową oraz znajdując się w przededniu wyborów — administracja amerykańska nie chce zerwać mostów. „Baltimore Sun", powołując się na oficjalne źródła, pisze, że Waszyngton „jest nadal zainteresowany rozmowami z Moskwą nawet, jeśli nie mogłyby się one odbyć w najbliższej przyszłości". „Washington Evening Star" nawołuje, aby pod żadnym pozorem „nie rezygnować z rozmów z ZSRR w sprawie ograniczenia zbrojeń rakietowych".

Skoro już o Stanach Zjednoczonych mowa — kilka uwag o sytuacji przedwyborczej. Tym bardziej, że w ub. tygodniu obiecaliśmy powrócić do tematu.

A więc znamy już pary wyborcze: Humphrey — Muskie i Nixon — Agnew. Która z nich ma więcej szans w listopadowych wyborach — demokraty Huberta Humphreya, farmaceuty z zawodu, obecnego wiceprezydenta, który o fotel prezydencki ubiegać się będzie po raz pierwszy, czy Richarda Nixona, z zawodu prawnika, dwukrotnie sprawującego urząd wiceprezydenta, który był wyborczym rywalem Kennedy'ego?

Przypomnijmy, że obaj ci kandydaci dobrali sobie do tandemów ludzi mało znanych, można nawet powiedzieć — przypadkowych. Ani bowiem Edward Muskie z Maine, ani Soiro Agnew z Maryland nie błyszczeli na politycznym firmamencie. Rzecz jednak w tym, że właśnie tacy — politycznie z a g a d k o w i — kandydaci byli potrzebni pretendentom do prezydenckiego fotela.

Powróćmy jednak do pytania: kto ma więcej szans?

Są one w pewnym sensie wyrównane. Johnson przed czterema laty miał przeciwko sobie Goldwatera z jego otwartym programem wojennym. Wówczas demokraci wygrali jako partia pokoju. Dziś sytuacja jak gdyby się odwróciła. Gdyby więc Nixon chciał być w swoim programie bardziej pokojowy w sprawie Wietnamu niż Humphrey, obarczony odpowiedzialnością za trwanie wojny, wówczas być może do władzy powróciliby republikanie.

W. SŁAWSKI

JAN PAKUŁA

Chodzi o metodę

Jeśli, jak to się powszechnie formułuje, ideowe wychowanie obywateli ma mieć decydujący wpływ na ich postawę wobec zjawisk współczesnego świata, wobec interesów kraju i narodu, to jego celem musi być kształtowanie gruntownych podstaw światopoglądowych każdego człowieka. Jak wiadomo, światopogląd ludzi to zjawisko niezmiernie skomplikowane. Określają go nie tylko czynniki racjonalne, ale także irracjonalne. Oczywiście stosunek do świata w którym żyjemy, oparty na przesłankach rozumowych, ma z reguły trwalsze podstawy. Światopoglądu człowieka nie ukształtuje się jednak tylko w oparciu o filozoficzne pogadanki lub wykłady z nawet najbardziej po marksistowsku interpretowanej historii, socjologii, czy innej dyscypliny naukowej. Nie o wiedzę faktograficzną tutaj bowiem chodzi. Ludzi trzeba uczyć myśleć. Uczyć samodzielnej oceny faktów i skomplikowanych zjawisk współczesnego świata.

Ktoś, kiedyś powiedział nie bez racji, że mieszczanin to człowiek, który nie potrafi poprawnie myśleć, który wszystko widzi oddzielnie i niczego nie dostrzega dalej czubka własnego nosa.

Jeśli część młodzieży dała się w marcu zwieść hasłom nieodpowiedzialnych polityków, to przede wszystkim nie dlatego, że nie wiedziała kim był Berman lub ktoś taki lecz dlatego, że nie stać ją było na samodzielną ocenę tych haseł i zaskakujących ją zjawisk. I właściwie trudno się temu dziwić, jeśli zna się bliżej pracę naszych szkół i uczelni. Niestety w pracy pedagogicznej podobnie jak w stosunkach produkcyjnych daliśmy pierwszeństwo elementom ilościowym a nie jakościowym. Przez pogłębienie procesu nauczania rozumie się w praktyce przede wszystkim dodanie nowej porcji wiadomości z tej lub innej dziedziny wiedzy, a nie kształtowanie sposobów myślenia i określonej postawy życiowej. Wbrew pozorom nie jest to wina tylko nauczycieli, choć ich roli w procesie kształtowania serc i umysłów młodzieży wcale nie mam zamiaru pomniejszać. Chodzi mi tylko o zwrócenie uwagi, że przyczyny tego zjawiska są znacznie szersze. Znałem kiedyś pewnego rolnika, który przyswoił sobie z kalendarza ludowego parę informacji na temat odległości ziemi od słońca, księżyca i planet naszego układu oraz kilka innych wiadomości z astronomii i przy ich pomocy — mówiąc językiem sztubackim, „oblewał" wielu przyjeżdżających tam na letnisko uczonych z tytułami docentów lub doktorów.

„To pan jest uczony i nie wie pan jaka jest odległość ziemi od księżyca. Widać coś z tą pańską uczonością nie bardzo" — mawiał do nich tonem pełnym chełpliwości.

My także często mówimy do młodego człowieka: to pan zdał maturę i nie zna pan treści statutów łaskich? Tak jakby znajomość statutów łaskich była najistotniejszym elementem szkolnej edukacji. Nie chcę być źle zrozumiany, uważam, że absolwent liceum powinien posiadać pewne minimum wiadomości z różnych dziedzin wiedzy. Powinno to być jednak naprawdę ograniczone do spraw ważnych i niezbędnych, przy tym analiza przyswajanych faktów musi być wszechstronna i tak prowadzona, aby największy był z tego pożytek dla metody myślenia.

Czyż bowiem szkoła w najlepszym razie może dać coś więcej prócz metody i zainteresowania? Owe ścisłe dane, daty i teksty — wszystko to i tak wcześniej czy później wietrzeje z głowy. Myślenie zaś pozostaje. Ponieważ myślenie to też umiejętność, należy go więc uczyć.

Niestety tego postulatu nie spełniają ani programy, ani podręczniki szkolne. Tematyczny układ programów jest tak przeładowany różnymi zagadnieniami, że nie pozostawia miejsca na prawdziwie intelektualną analizę materiału. Trzeba więc, realizując określony przedmiot po prostu wykuć poszczególne tematy, z czego, jak wiadomo, pożytek niewielki. Zresztą sprzyjają temu i podręczniki, które roją się od szczegółików i równie nachalnych co banalnych komentarzy.

Program i podręcznik jest jednak dla wizytatora — też trudno się temu dziwić — podstawą oceny pracy nauczyciela. Wiele widziałem w życiu powizytacyjnych protokołów, ale bardzo rzadko mogłem spotkać w nich omówienie faktycznych efektów, które osiągnął nauczyciel w pracy z młodzieżą, za to jakże często spotykałem pretensje o niezrealizowanie tego lub innego tematu. Można to także zrozumieć, jeśli uwzględnimy, że prócz założeń programowych, skłania wizytatora do takiego postępowania zwykła wygoda. Przecież znacznie łatwiej jest skontrolować ilościowe efekty pracy, aniżeli zbadać, co naprawdę ona dała społeczeństwu.

Nie jest to zresztą niestety jedyna wada naszych podręczników i programów. Drugim niemniej ważnym ich mankamentem jest pewien schematyzm, powodujący, że świat pokazuje się w nich niemal wyłącznie jako optymistyczny i radosny, a nasze życie prawie usłane różami. Kroczymy, zdaniem autorów podręczników, od sukcesu do sukcesu. Mieliśmy i mamy zawsze słuszny program, który pozwala nam niejako mimochodem rozwiązywać wszystkie ważne problemy. Powie ktoś, że przesadziłem w ocenie owych szkolnych książek. Obawiam się, że niestety przesada ta jest niewielka. Na tyle tylko, aby jaskrawiej pokazać sens tych przecież niebagatelnych nieporozumień.

Życie w podręcznikach szkolnych jest przecież bezkonfliktowe. Nawet jeśli się mówi o trudzie pracy, to też poza werbalnym stwierdzeniem, nie potrafi się tego trudu pokazać. A deklaracje o radości pracy lub o jej pożyteczności, nie nauczą jeszcze młodzieży szacunku dla ludzkiego trudu. Odnosze nieraz wrażenie, jak gdyby autorzy szkolnych podręczników stali na pozycjach nie dialektycznej lecz mechanistycznej filozofii i zgodnie przyjmowali za punkt wyjścia swoich prac poglądy o jakimś automatycznym rozwoju przyrody i społeczeństwa. A przecież skoro świat jest materialny, a materia jest w ciągłym ruchu, to nie może w nim być żadnych zjawisk statycznych. Wszystko podlega nieustannym zmianom. Zjawiska ongi pozytywne mogą się przeobrazić w swoje przeciwieństwa. Siłami napędowymi tych zmian i wszelkiego rozwoju jest walka różnych przeciwstawnych tendencji. W walce, jak w walce, nie zawsze zwycięża słuszna sprawa.

Zresztą rozwój — jak wiadomo — nigdy nie przebiega po krzywej nieustannie wznoszącej się. W każdym rozwoju może nastąpić zahamowanie, a nawet wyraźny regres, dojście do głosu sił wstecznych. Przyroda dostarcza wystarczającą ilość dowodów na potwierdzenie tej tezy, a jeszcze więcej znajdziemy ich uważnie obserwując społeczeństwo.

Dlatego trzeba uczyć ludzi patrzeć na świat z pozycji walki. Uczyć samodzielnego rozróżniania zjawisk i postaw postępowych od wstecznych, aby każdy mógł sobie odpowiedzieć na pytanie: które z nich należy popierać, a które zwalczać? Tę naukę koniecznie trzeba zaczynać od najmłodszych lat. Nie oszczędzimy bowiem młodzieży największych rozczarowań, jeśli nie nauczymy jej patrzeć na świat z pozycji walki. Cóż z tego jeśli kierując się jakimiś infantylnymi teoriami pedagogicznymi, po to, aby rzekomo oszczędzić młodzieży przykrości, będziemy w niej kształtować wizję rzeczywistości bezkonfliktowej i pięknej, skoro przy pierwszym zetknięciu się z nią, miraże prysną, a młody człowiek dostanie obuchem po głowie i straci grunt pod nogami. Wtedy rozczarowanie, pesymizm, malkontenctwo i poczucie wyalienowania ze społeczeństwa.

W interesie więc jednostki i społeczeństwa leży, aby młody człowiek znał prawdę, potrafił ją cenić i o nią walczyć. Trzeba go uczyć widzenia świata w całej złożoności. Uczyć obserwacji społeczeństw ludzkich targanych sprzecznościami, przeciwstawnymi interesami różnych grup i warstw, uczyć obserwacji człowieka w jego nieustannych zmaganiach z przyrodą, w jego walce o własną egzystencję i egzystencję ludzkiego rodzaju. Wtedy młodemu, który zaczyna dojrzałe życie, będzie łatwiej znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie i określić własną w nim rolę. Odkrycie zaś, że świat nie jest w bezruchu lecz pełen zmian i konfliktów wcale nie czyni go mniej pięknym, szczególnie jeśli swój w nim udział, chce się zaznaczyć walcząc o to co szlachetne, dobre i postępowe.

Fot. Rouben Vosguimorouktan

Nad Wilią i Niemnem

Dalszy ciąg ze str. 1

do Maryli. Zrozumiej tu mężczyznę. Litwini rozumieją prosto — wietrznik był z autora ballad i romansów, wielki pisarz, któż śmie zaprzeczyć, „Grażynę" napisał, część „Dziadów", różne tam „Żywille", Schillera nam przyswajał w Kownie i Goethego, ale był zmiennik i kwita.

Kowno czci Mickiewicza, jest szkoła jego imienia, dzieci współzawodniczą w nauce, zaznaczając swoje sukcesy na mapie podróży pisarza, Kowno zabudowuje starannie piękną dolinę jego imienia. Nie podejmuję się opisać tej doliny i nie ma powodu, opisał ją bowiem znudzony Kownem Mickiewicz: „Trudno sobie coś rozkoszniejszego wymyślić, a niepodobna widzieć, przynajmniej w Litwie. Ogromne góry, ciągnące się zakrętami na pół mili blisko, środkiem zielona dolina, rozmaicie wyłamana, ale zawsze równa, raz wąska, drugi raz szersza, pełna kwiatów, przerżnięta małą rzeczką... Dodaj jeszcze, że te góry są okryte lasem najpiękniejszym w kształcie okrągłych klombów. Drzewa kilkudziesięcioletnie albo dla okrągłości mówiąc, stuletnie, gęsto splecione, jarzębina, czeremcha biała, jodły ciemne, z długimi warkoczami brzozy w kolumny i piętra wyniesione — najrozkoszniejszy widok — a ranek — śpiewania ptasząt — szmer wody — coś jeszcze przydam milszego: oto idące dolinką z koszykami Litwinki na targ do Kowna"...

Tak pisał Mickiewicz do swoich przyjaciół Jana Czeczota i Tomasza Zana. Piękne tło dla romansu z prowincjonalną Wenus nie uległo większej zmianie, powiedziałbym nawet nabrało obecnie szerszego wyrazu literackiego. Nie wiem, czy na górze Mickiewicza leży jeszcze ów stary kamień wyniosły, o którym wspomni w „Konradzie Wallenrodzie", wiem jednak, że teraz deklamują tam wiersze poeci Litwy, a słuchać przychodzi tysiące. Nie mniejsze niż u nas kiedy gra ŁKS.

W dolinie Mickiewicza wre praca, przebudowa szosy, prowadzącej z wnętrza miasta do nowej dzielnicy. Byliśmy i tam, żwawo jedliśmy obiad w uroczej, stylizowanej restauracji „Pod Trzema Dziewicami". Uważcie państwo, jaki na tej Litwie szacunek dla kobiet. Kowalska najwierniejsza ze wszystkich, a więc cnotliwa w niecnocie, a teraz znowu te trzy dziewice. Ubrane w tradycyjny strój żmudziński, usługują z niebywałym wdziękiem. Dziwne to wszystko, jak ze snu. Siedzimy za taflą szklaną, u naszych stóp płynie Niemen, widać dalej jego spiętrzenie i Morze Kowieńskie. Jedna z usługujących dziewic, (tu można we wszystko uwierzyć) opowiada historię trzech dziewcząt, które mieszkały przed laty na wyspie, pośrodku Niemna. Żyły szczęśliwie, aż znalazł je Perkun i chciał poślubić. Nie wiem — jedną, czy wszystkie naraz. Oparły mu się jednak wszystkie, pozostały dziewicami, a on je zaczarował. Mnie też zaczarował szeroki Niemen, ta gospoda pięknie wystylizowana na stary styl Żmudzi, legendy starolitewskie, senne wody morza i wiersze, jego wiersze, poświęcone miłości.

Śródmieście Kowna jest, powiedziałbym, prowincjonalne, jak zresztą całe miasto, ale urokliwe. Spodziewałem się sensacji w antykwariacie. A nuż trafię na coś z tamtych lat, na jakieś księgi wiekowe, nieznany tomik wierszy. Nic z tego. Z rzeczy rzadkich znalazłem wiersze zebrane Piechala, prozę Gomolickiego i przewodnik po współczesnym Krakowie. Niespodziankę z gatunku tych, które za gardło ściskają, przeżyliśmy w muzeum. Kiedyśmy tam szli, usłyszeliśmy jedyną w swoim rodzaju, niezapomnianą muzykę dzwonów, specjalność Kowna. Dzwony grały najpierw jakąś pieśń litewską, bardzo melodyjną i odrobinę smętną, a potem zaraz — Wilija naszych strumieni dziewica. Może na nasze przyjście? Nie wiem, ale to było wzruszające, serdeczne, co zresztą pogłębiło się już w samym muzeum. Znalazłem tam serię starych portretów polskich, wśród nich znakomity konterfekt Kleofasa Ogińskiego, twórcy poloneza pożegnalnego. Litewska rzeźba ludowa lepszego nić ja wymaga znawcy, aby ją ocenić. Jest z pewnością wspaniała, zapisała w drzewie fragmenty istotnego życia tego kraju, a więc ucisk panów feudalnych, jak u nas, zrywy powstańcze jak u nas, madonny melancholijne i Chrystusiki frasobliwe jak u nas, i krzyże, niezapomniane krzyże Litwy i tylko Litwy, gdzie podstawowy znak chrześcijaństwa wtopiony jest w słońce, znak dawnej, pogańskiej Litwy. Stroje ludowe, barwne pasy ludu litewskiego bardzo przypominają nasze i miło jest, oczywiście, to podobieństwo wykrywać.

Oglądałem rzeźby i medale Rymszy. Dużo kultu dla Mickiewicza, ale największe wrażenie robi rzeźba — „Matka — Litwinka", przedstawiająca zwykłą kobietę wiejską, która uczy dziecko liter. Jest to aluzja do naszego wspólnego losu, za udział w Powstaniu z roku 1863 Litwa została ukarana zakazem otwierania własnych szkół. I wreszcie galeria obrazów Mikolajusa Ciurlonisa, malarza, który słusznie stanowi chlubę Litwy. Symbolista, pełen ekspresji, podanej w barwach lekkich, delikatnych jak mgła, przypomina niekiedy naszego Malczewskiego, u którego uczył się przez pewien czas, jest to jednak malarz par excellence litewski. Wierzenia tego kraju, dawne i groźne, muzyka, melodyjność niepowtarzalnego pejzażu Litwy, ludzie, bogowie, cmentarze, czasem monumentalne, a czasem smętne — zmuszają mimo woli do głębszej refleksji.

TU MIESZKAŁ MICKIEWICZ

Pani Aldona Liobyte zna Litwę znakomicie, wiele jej zawdzięczam, jej informacjom, opowieściom, więc może dlatego czułem się dobrze. Piliśmy piwo w gospodzie „Pod brzózką" w miasteczku Prianaj, zagryzali solonym grochem, przystanęliśmy na pewien czas w Landwarowie. Dowiedziałem się, że przełożyła szereg naszych pisarzy — „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego, „Tango" Mrożka, które idzie w Wilnie, i Domańskiego „Ktoś nowy", sztukę wystawianą z niebywałym powodzeniem w Kownie.

Byłem spokojny, lecz przeczuwałem, że to się skończy w Wilnie, dyskutowałem o stosunkach kulturalnych pomiędzy Polską i Republiką Litewską, lecz przecież wiedziałem, że czeka mnie podróż trudna do tego domu, gdzie kończył „Grażynę", do dziesiątków i setek innych miejsc.

Po Wilnie oprowadzał nas Witold Sirijos Gira, jeden z pierwszych poetów Litwy współczesnej, zwagarował ze szpitala, w którym pracuje i pełnił rolę cicerone z niezwykłą znajomością rzeczy. Rozumiem, zakochany w Wilnie po uszy.

Nie wiem, jakby to opowiedzieć. Zaczęliśmy chyba od Ostrej Bramy. Jest dzień świąteczny, niedziela. Ludzie klęczą u stóp obrazu, modlą się, na dole sprzedają dewocjonalia, tradycyjne palmy wileńskie można kupić na Antokolu, pod kościołem świętego Piotra i Pawła, tu trafiają się rzadziej. Czysto, ołtarz tonie w kwiatach. Młoda matka poleca swoje dziecko tej, „która w Ostrej świeci Bramie", słyszę szept żarliwej modlitwy, ktoś wiesza skromne votum, vota zajmują całą ścianę, odczytuję wzruszające ofiarowanie z roku 1863. To powstańcy, podpisani ze względów konspiracyjnych tylko inicjałami, polecali swoje życie Pannie. Czy wrócili kiedykolwiek do Wilna?

Z kościoła świętej Teresy dobiega polski śpiew, odbywają się tam naprzemian litewskie i polskie nabożeństwa. Kościół ładnie odnowiony, podobnie cerkiew pod wezwaniem trzech ruskich męczenników. I tam trwa msza, więc nie mają racji ci, którzy twierdzą, że kościoły są nieczynne, zaniedbane, celowo niszczone. Wilno było poważnie zniszczone i nie jest miastem łatwym do odbudowy. Tu każdy detal ma znaczenie, wszystko posiada wartość historyczną i trzeba szalonych wprost sum, żeby całe to jedyne, niepowtarzalne stare Wilno odnowić. W kościele świętej Teresy Napoleon urządził sobie stajnie dla wojska i porządnie go zdewastował okupacja hitlerowska, to znowu okres dewastacji, a jednak ten właśnie pomnik kwitnącego baroku błyszczy jak perła obok Ostrej Bramy.

Wychodzimy ulicą Gorkiego na historyczny plac. Zabytkowy ratusz pięknie odbudowany to reprezentacyjne dzisiaj muzeum Republiki. Świetnie zorganizowane, klarowne, przedstawia artystyczny dorobek Litwy, w którym nie brak i naszego udziału. Lecz ten plac również i inne wywołuje skojarzenia. Powstanie Jakuba Jasieńskiego, znakomita scenę z „Horsztyńskiego", śmierć zdrajcy Kossakowskiego, którego tu właśnie wieszano. Wystarczy tylko przymknąć oczy, a już słychać wstrząsającą opowieść Sobolewskiego z III-ciej części „Dziadów".

„Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem.
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy.
Wpośrodku nich kibitki...".

Stąd, jak mówi legenda, z tego właśnie placu, odjeżdżał z Wilna Mickiewicz, by już nigdy w te strony nie powrócić.

Niezmordowany kolega Sirijos prowadzi nas do dawnego zaułka Bernardyńskiego, obecnie zwanego zaułkiem Pilies. Tak jest, nic się tu nie zmieniło. Naprzeciw pałacu hrabiego Olizara, ta sama tablica na wysokości pierwszego piętra — „Tu mieszkał Mickiewicz, 1822", a więc po powrocie z Kowna. Tu kończył „Grażynę". Wchodzimy na podwórze, od strony kościoła świętej Anny, prawdziwej perełki późnego gotyku, słychać organy i polską pieśń religijną. Podwórko — klejnocik sam w sobie. Porasta je bluszcz, figurka świętej we wnęce. Muzeum założył przed laty redaktor Obst, dziennikarz i trochę pisarz, wykupił dom, zadbał, wyremontował, zgromadził co mógł, aby jak najpełniej odtworzyć mieszkanko poety. Nasi koledzy, pisarze litewscy, znaleźli się w sytuacji bardzo kłopotliwej, gdyż wojna zniszczyła wszystkie zbiory Obsta. A jednak w trzech pokoikach można już dziś oglądać sporo dokumentów, relacjonujących studia i pobyt Mickiewicza w Wilnie, są jego lektury z tamtych lat i pokoik, w którym pisał.

Stare miasto w Wilnie nie ma sobie równych. Jest w dużej części odnowione, choć można by się spierać, czy nie lepiej jednak różnicować kolory farb, zamiast posługiwać się tylko jedną, jakąś taką ni kremową ni brązową, podatną na deszcze, skorą do czernienia.

Nasz cicerone ma żelazne zdrowie, pędzi nas po Wilnie, a upał jak na Litwie. Lecz któż z nas nie chciałby zajrzeć w mroczne korytarze Uniwersytetu, najstarszej uczelni w Kraju Rad? Uniwersytet odnawiany był w latach międzywojennych przez profesora Ferdynanda Ruszczyca, teraz jest z równym pietyzmem odnawiany. Cudowne podwórza Sarbiewskiego, Poczobuta, Smuglewicza, pełne uroku, są już gotowe, prace trwają na malowniczym dziedzińcu Mickiewicza. Asfalty, trawniki, kwiaty, ściany porosłe bluszczem, kapryfolium, malownicze krużganki arkadowe, przecięte gotyckimi skarpami, łamane dachy, jakie można spotkać w Krakowie, budzą, muszą budzić zachwyt, nie można sobie wyobrazić doskonalszego kształtu, starej, zasłużonej uczelni.

Teraz uniwersytet milczy, choć w Wilnie odbywa się doroczny festiwal artystyczny uczelni radzieckich republik bałtyckich. Wśród zaproszonych nie brak także młodych gości z Polski. Wilno chce być i jest centrum ruchu studenckiego w szerszej skali.

Zwiedziliśmy wspaniałą „salę białą", szukałem stołu przy którym podpisano ostatni rozbiór Polski, alem go znaleźć nie mógł, widzieliśmy pobieżnie przebogate zbiory książek w sali Lelewela i Smuglewicza, ozdobionej malowidłami ściennymi tego malarza i profesora. Dowiedzieliśmy się, że Uniwersytet posiada niezmierzone wprost bogactwo poloników, sam księgozbiór Lelewela może przyprawić o zachwyt, cóż mówić o materiałach do dziejów Filomatów i Filaretów, pierwszych drukach wileńskich — ruskich, polskich i litewskich, lutarańskich, katolickich, prawosławnych. Wiele narodowości budowało Wilno i niemal każda pozostawiła tu swoje bezcenne pamiątki.

Kościół świętego Jana, zbudowany przez Batorego, nie jest w najlepszym stanie. Otoczony rusztowaniami przechodzi właśnie konieczny remont. To jeden z najwspanialszych kościołów rokoka. Kiedyś grywał tu na organach Stanisław Moniuszko, Wiwulski — twórca pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, dla tego kościoła wykuł w kamieniu tablicę Kościuszki był tam w zamkniętym dziś wnętrzu wspaniały pomnik Mickiewicza, jedyny w gruncie rzeczy w Wilnie, marmurowe popiersie twórcy „Halki", no, ale teraz ważne jest, że i ten kościół doprowadzony będzie do porządku, jako maleńki panteon o wartości, wybiegającej daleko poza Litwę.

OGRÓDEK JULIUSZA

Nad ulicą Gorkiego wisi słońce. Ta ongiś główna arteria starego Wilna jest już niemal w całości odbudowana z pietyzmem godnym najwyższego uznania. Brak co prawda starej i zasłużonej księgarni wydawniczej Zawadzkiego, gdzie illo tempore wydawali oni wszyscy, Syrokomla, Mickiewicz, Orzeszkowa, Chodźko i tylu innych.

Weszliśmy w podwórze, prawie naprzeciwko kościoła św. Jana i cło czas jakby się zatrzymał. Ulubiony ogródek Juliusza Słowackiego, dom w którym mieszkał, gdzie zakochany w Ludwice Śniadeckiej młodzieniec czytał Swedenborga z drugim młodzieńcem i przyjacielem Ludwikiem Szpicnaglem, zakochanym w Olesi Becu. To także cały rozdział w życiu Wilna. Euzebiusz Słowacki, profesor Uniwersytetu leży na Rossie. Byłem na jego grobie, utrzymanym zresztą nie najgorzej, czytałem nagrobek, który sam sobie ułożył na krótko przed śmiercią.

„Wędrownik w trudzie życia mdłą
stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi niemiłe.
Bez trwogi, nie bez żalu wiążę kres zbliżony,
Który nagle w nieznane przeniesie mię strony,
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność
przebywa,
I którą chmura pełna tajemnic okrywa".

Grób ojczyma Słowackiego — Augusta Becu i jego rodziny bardziej jest zaniedbany. Zatrzymaliśmy się przy pięknie utrzymanej mogile tego, co skonał, grając na lirze, litewskiej lirze — Władysława Syrokomli. Kult tego pisarza wciąż jest jeszcze żywy, napis na tablicy wyraźny, starannie pielęgnowany.

„Cześć Twej pamięci, lirniku wioskowy:
Twym piosnkom wieczna niech będzie część,
Ty w naszych sercach pomnik wiekowy
Trwalszy nad granit umiałeś wznieść".

A przecież jeszcze ta podróż nieco sentymentalna wcale nie skończona, jeszcze by trzeba przypomnieć syna kupca z dawnej ulicy Niemieckiej — Juliana Klaczkę, znanego współpracownika „Revue des deux mondes", autora poezji polskich i hebrajskich, śpiewaka w synagodze, która już nie istnieje, jeszcze by coś o Chodźce i jego powieści „Dworki na Antokolu". Widziałem je, jadąc do kościoła świętego Piotra i Pawła, stoją już z rzadka, lecz jak zawsze piękne, odrestaurowane. Jeszcze by więcej o Moniuszce. Stoi na nowo dom, w którym mieszkał przy dawnej ulicy Niemieckiej, dawny pałac Paca, odbudowany z gruzów, ozdobiony niedawno wmurowaną tablicą w języku litewskim, przypominającą kompozytora.

To jasne, śledziłem przede wszystkim niejako na nowo, co pozostało mi w pamięci z tamtych szczenięcych lat, kiedym każdego zwykłego dnia wędrował koło dawnej katedry do szkoły. Kwitł tam przed laty święty gaj Swentoroga, możnego bożka pogańskiej Litwy, płonął ponoć na miejscu głównego ołtarza katedry nie gasnący znicz na chwałę gromowładnego Perkuna, na miejscu dzwonnicy odprawiał modły Krywe-Kryweite, sławny kapłan przedwitoldowej Litwy. On sam spoczywa w podziemiach z krewnymi z dynastii Jagiellońskiej — Kazimierzem, Aleksandrem, tam też leżą żony królów z dynastii litewskiej — Jadwiga, Elżbieta, Barbara.

Lecz dzisiaj nie wygłaszają kazań w katedrze potomkowie nieprzejednanego jezuity księdza Skargi, nikt nie gromi innowierców, wspaniały, pieczołowicie pielęgnowany gmach, jakby żywcem ze starej Grecji przeniesiony to muzeum, pierwsza na Litwie galeria malarstwa. Nie wiem, czy Tycjan z Wilna i Murillo są prawdziwi, można jednak zobaczyć plejadę znakomitych mistrzów — Smuglewicza, Czechowicza, Rustema, Andriollego, Śledzińskiego, Ruszczyca, można godzinami patrzeć na „Portret Granowskiej", „Śmiejącego się Włocha" Rusieckiego, na płótna Duerrera, grafikę Daumiera i tak bez końca.

Lecz to miejsce u stóp starego zamku Gedymina, na którym powiewa flaga Republiki, to także tajemniczy, romantyczny ogród Capuletów, miejsce schadzek Zygmunta i Barbary. Czy brali tu ślub, pod romantyczna statuetką Madonny? Kim był ów wynajęty przez Radziwiłłów ksiądz? Zaiste polsko-litewska para kochanków nie ustępowała w niczym włoskiej, król bardziej był tragiczny niż Romeo, Barbara niżli Julia, a przy tym oboje prawdziwi.

I takie to jest Wilno stare, gdzie wieczność przebywa, miasto kościołów wszystkich wiar i wyznań. Wiele narodowości pozostawiło w nim ślady swojej działalności kulturalnej, naukowej, wiele zdolnych rąk zbudowało stare miasto litewskiej stolicy.

DZIŚ I JUTRO

Przyłapałem się na tym, że wbrew pozorom zafascynowała mnie nie tylko przeszłość Wilna. Miasto przekroczyło już dość wyraźnie liczbę 300 tysięcy mieszkańców. Nasz cicerone, choć to poeta i lekarz, doskonale zna perspektywy rozwojowe swojej stolicy. Wilno zostało zniszczone w co najmniej 40 procentach w wyniku wojny i okupacji. Na 180 zabytków architektury, żeby tylko wymienić te ważniejsze, ponad 80 uległo zniszczeniu, nie działało ani jedno przedsiębiorstwo w momencie wyzwolenia. W świetle tych cyfr, tak bardzo zrozumiałych dla Polaka, jasny staje się kolosalny wysiłek niewielkiej przecież, bo trzymilionowej Republiki.

Powiadam, kolego Sirijos Giro dał nam porządną lekcję poglądową. Wiemy na pamięć, że Wilno to dzisiaj duży ośrodek przemysłowy, nigdy nim w poprzednich dziejach nie było. Przemysł elektrotechniczny, obrabiarkowy, podzespołów telewizyjnych, elektronowe maszyny matematyczne, znakomite ponoć, także się buduje. Buduje się przede wszystkim domy. Nikt z tak zwanych starych wilniuków nie poznałby Antokolu, stoi dziś piękny, nowoczesny i wcale nie w stylu, tym, no, neominionym, to doprawdy kolorowe, funkcjonalne domy. Architekci litewscy doprawdy są bardzo utalentowani, zwłaszcza zaś architekci wnętrz.

Z Antokolu jedzie się nowym, smukłym mostem na dawne Żyrmondy i Snipiszki. Stoi tam nowe miasto, które przypomina nasze polskie osiedla. Te najlepsze. Sirijos zna, oczywiście, odpowiednie liczby, jak to człowiek zakochany w swoim mieście, ale nie będę ich podawał, przynajmniej jeśli chodzi o budownictwo, czy przemysł. Ruch w interesie na całego, to pewne.

Miałem przyjemność złożyć wizytę w wydawnictwie literackim Republiki. Chodziło mi o współpracę z naszym Wydawnictwem Łódzkim, wymianę tłumaczeń, pisarzy, wydawców i co tylko będzie możliwe. Wierzyć się nie bardzo chce, ale przeciętny nakład poety litewskiego wynosi 7—8 tysięcy egzemplarzy, u nas — jak wiadomo — tysiąc egzemplarzy nie przynosi hańby. Mówię o współczesnych. Dyrektorius wydawnictwa — Jonas Cekys, pokazał nam szereg pozycji, wszystkie mają wysokie nakłady. Jako cnotry wydawca zacząłem rozumować w ten sposób: gdyby to była poezja drętwa, nieciekawa, czy zarozumiała, to by jej nie czytali, na Litwie także nie ma przymusu czytania, skoro jednak kupują, musi to być poezja po prostu dla ludzi. Mój młody przyjaciel, Albinas Bernotas, zresztą laureat nagrody państwowej, wydał właśnie swoje wiersze w nakładzie 8 tysięcy. To mówi wiele o kulturze czytelniczej tej pracowitej Republiki.

Niektórzy pisarze litewscy osiągają zawrotne wprost sukcesy czytelnicze, jeśli je mierzyć wysokością nakładów. Taki np. pisarz jak Słuckis, którego poznałem w Moskwie, przekroczył już grubo pół miliona nakładów, a to człowiek młody i kraj tylko trzymilionowy, dzieła Žemaite dochodzą miliona łącznego nakładu, pół miliona przekroczył Kubilinskas, Vienuolis, Simonalyte i wielu innych.

Polska literatura nieźle jest reprezentowana w naszej księgarni, przy głównej ulicy miasta, a już nad podziw dobrze książki naszego Wydawnictwa Łódzkiego. Dobry to prognostyk dla rozwoju wzajemnych stosunków kulturalnych pomiędzy Łodzią i Wilnem. Nie mógłbym jednak powiedzieć, że dużo tłumaczy się Polaków. W latach 1940—1966 przełożono 86 książek z naszej literatury pięknej, w łącznym nakładzie 702.900 egzemplarzy, podczas gdy Francuzi przekroczyli grubo 2,5 miliona, Anglicy półtora miliona, podobnie Amerykanie i Niemcy. Myślę, że powinniśmy uczynić wszystko, aby ten stan zmienić na lepsze.

Wreszcie kilka uwag typowo turystycznych. Zaopatrzenie znakomite, w sklepach rozmaite wędliny litewskie, mięsa w bród, kawiarnie i restauracje bardzo, ale to bardzo przyzwoite. Wilno jest europejskie w stroju, zachowaniu, aktualny repertuar sześciu teatrów tego miasta, wyważony, rozsądny, opiera się na czołowych dramaturgach Kraju Rad, ale nie brak pozycji z różnych części świata. Własna wytwórnia filmowa, silna stacja telewizyjna i radiowa, kin więcej niż w Łodzi, hala widowiskowa mniejsza niż nasza, lecz znacznie ładniejsza, znakomite nalewki z Laudy można kupić bez trudu, a dziewczęta chodzą w mini spódniczkach.

Wracaliśmy do Moskwy wieczorem, trochę wzruszeni niezwykle serdeczną gościną, mieliśmy w uszach śpiewną mowę Wilna, którą wszędzie można usłyszeć, mieliśmy w oczach to miasto jak ze snu, nie podlegające prawom definicji, nie dające się opowiedzieć przez noc, ani napisać na kilku stronach.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

MARIA TYMOWSKA

Po Marsylii bez przewodnika

Ostro ląduje Caravela na lotnisku Marignane. Jeszcze pół godziny autokarem i jesteśmy w Marsylii. Zegar wybija godziny południowej sjesty.

Rozgrzany 45-stopniowym upałem Stary Port. To właśnie tutaj 600 lat przed naszą erą wylądowali greccy założyciele starej Massilii. Pod markizami kafejek turyści szukają ochłody, sprzedawcy lodów drzemią przy wózkach, nawet Murzyni zazwyczaj nachalnie oferujący przechodniom swoje hebanowe rzeźby także szukają cienia.

Nie próżnują tylko właściciele motorowych łodzi. Jakby nie czując gorąca kręcą się po nabrzeżu, zaczepiają każdego przechodnia, zachwalają uroki morskiej przejażdżki. Ulegliśmy ich namowom i za chwilę mijaliśmy już bramy portu. Te same baszty strzegły go, gdy Mickiewicz opuszczał Francję w drodze na Daleki Wschód. Ta sama droga wieźli jego ciało przyjaciele, by spoczęło na cmentarzu w Montmorency. Tędy również Chopin wracał z Majorki. Nasz kapitan, kruczowłosy Włoch, szerszy niż dłuższy, prowadził łódź, stojąc na małym stołeczku, inaczej nie mógł dosięgnąć steru.

Oto cel naszej wyprawy — Zamek If — uwieczniony przez Aleksandra Dumas, przeżywa codzienny najazd turystów. Strome schody wiodą z przystani na górę. Młodzi pokonują te stromiznę bez trudu. Ale nie tylko młodzi zwiedzają mury więzienia tak malowniczo położonego na otwartym morzu. Starą Amerykankę, która nie może już ukryć swoich lat, a co więcej i tuszy, holują na górę wnuki. Jeden ciągnie babcię na kiju, drugi z tyłu popycha — ..... marzenie mojego życia spełnione, to miejsce, gdzie cierpiał Monte Christo było celem mej pielgrzymki!". Ale nie tylko Hrabia Monte Christo pozostawił tutaj swoją celę i wspomnienia. Żelazna Maska, ksiądz Faria i wielu innych do śmierci nie opuściło więziennych murów. W zamku zachowała się także sala posiedzeń Trybunału Rewolucyjnego z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej. W przepięknej scenerii wyspy jarmarczny fotograf ustawia do zdjęcia rodzinę rozkrzyczanych Włochów. Proceder przypomina czasy króla Ćwieczka... „uwaga, nie ruszać się"... okryty czarną płachtą, ręka odsłania obiektyw — „raz, dwa, trzy" — znów ręka na obiektywie — „dziękuję". Po 3 minutach wręcza gotowe fotografie.

Wokół Starego Portu rozsiadły się eleganckie hotele. Jeden z nich gościł w ubiegłym wieku Fryderyka Chopina i George Sand powracających z Majorki. Tablica na murze hotelu Beauvau upamiętnia ich pobyt. Z Chopinem łączy Marsylię inny jeszcze fakt. W starym, o renesansowej fasadzie, kościele, Notre Dame du Mont, Chopin grał na organach. Niestety, proboszcz nie umiał wskazać żadnych innych pamiątek związanych z naszym wielkim rodakiem.

W Marsylii, na każdym niemal kroku „wczoraj" styka się z dniem dzisiejszym. Tuż obok nowoczesnych wieżowców przeszłość miasta odkryła swoje karty. Kierujący ekipą archeologów profesor — jak sam oznajmia — razem z prof. Michałowskim zasiada w Ateńskiej Akademii Archeologicznej. Wstęp na teren wykopalisk mamy więc ułatwiony, co więcej, profesor sam nas oprowadza i pozuje do filmu. Śladów bogatej przeszłości starożytnej Massilii zachowało się wiele. Zrekonstruowano stare mury obronne z wieżami strzelniczymi, zachował się doskonale zbiornik słodkiej wody — źródło zaopatrzenia dawnego miasta w wodę do picia. Powalone czasem leżą w pyle kolumny greckie, o zdobnych w liście akantu kapitelach. Tu i ówdzie walają się skorupy rzymskich amfor. Ponoć w dwóch doskonale zachowanych dzbanach znaleziono oliwki i gałązki kopru, który nie stracił aromatu.

Ale ślady bogatej przeszłości nie cieszą szarego mieszkańca Marsylii. „...Mieli budować garaże — wyjaśnia taksówkarz, który nas tutaj przywiózł — kopiąc fundamenty natrafiono przypadkowo na ruiny miasta sprzed wieków. Teraz mamy wykopaliska ale nasze samochody garażują pod gołym niebem..."

Współczesna architektura Marsylii „Osiedle wspólnoty mieszkaniowej" projektu Corbusiera. — „To osiedle, my marsylczycy, nazywamy domem wariatów. Mieszkają tutaj ludzie bardzo zamożni, bo mieszkania tu są bardzo drogie" — tak określa jeden z przechodniów to najbardziej nowoczesna dzielnicę miasta. Osiedle Corbusiera to jeden potężnych rozmiarów budynek, którego mieszkańcy mają wszystko „pod ręką": sklepy, restaurację, kawiarnię, żłobek, przedszkole, różne punkty usługowe, a nawet plażę i basen, wszystko pod jednym dachem z własnym mieszkaniem. Dom, którego ściany zachowały wygląd surowego betonu, ma zupełnie nieuporządkowane zaplecze — jest to wyraźne zamierzenie, a nie dowód jakiegoś nieładu. W zeszłym roku wybudowano jeszcze śmielsze w pomyśle, jeszcze nowocześniejsze w rozwiązaniu architektonicznym, osiedle wspólnoty mieszkaniowej „Brasilia" jakby żywcem przeniesione z miasta Brasilii. „Zwykły śmiertelnik tu nie zamieszka" — konkluduje nasz rozmówca.

Canebière, główna ulica miasta do późnych godzin nocnych szumi gwarem różnojęzycznej mowy. Obserwujemy przechodniów — owinięci w burnusy Arabowie proponują siedzącym przy stolikach kawiarnianych gościom kupno przerzuconego przez ramię dywanu, zaręczając, że jest to oryginalny „pers". Obok nas grupa młodzieży, na pewno turyści. Jakże podobni do naszych autostopowiczów. Cały ekwipunek mają na sobie. Jedna z dziewczyn ma już bardzo niewiele. Resztki obciętych dżinsów zakrywają tylko uda... Kelner stawia na stoliku piwo — dziewczyna chce płacić, jednak na piwo już nie starcza. Rachunek zostaje uregulowany przy pomocy kolegów. Turystyka młodzieżowa, zwłaszcza studencka — jak nam objaśniają Francuzi — to turystyka przeważnie darmowa — autostop połączony z pracą fizyczną. Prawdopodobnie spotkana młodzież nie podjęła jeszcze pracy. Między etapami młodzi znajdują zatrudnienie przeważnie na farmach rolnych.

Sąsiadujące z Canebière wąskie uliczki są o tej porze prawie puste, nie licząc tu i ówdzie stojących dziewcząt i chyłkiem przemykających kotów. Hotelarz ostrzega — „Marsylia, nawet w centrum, ma takie zakątki, gdzie — zwłaszcza turyście — nie można się zapuszczać". — Marsylia to portowe miasto — tutaj szansy życiowej szuka biedota z całego basenu śródziemnomorskiego stare, ciemne uliczki są właśnie schroniskiem czekających na swą szansę...

Sześćdziesiąt dwa i RESZTA

Dalszy ciąg ze str. 1

sobie pozwolić na urlop na Helskiej Mierzei. A teraz najechało tu pełno znajomych. Aż przykro. Gdzie się nie obrócisz samochody z łódzką rejestracją, ktoś kupuje lub czyta „Głos Robotniczy", bądź przechwala się: „a u nas w Łodzi..."

CO MA TURYSTA?

Ma wypoczywać. Po to tu — na Półwysep Helski — przyjechał. Ba! Co to jednak znaczy — wypoczywać? Każdy wypoczywa inaczej. Jedni zostawiają swoje przyzwyczajenia i mity tam, skąd przyjechali i na urlopie starają się żyć inaczej. Drudzy — tworzą urlopowe fetysze i zasady. Chodzenie na plażę staje się dla nich obowiązkiem, walczą o stałe miejsce na grajdoł, a parawanem osłaniają się nie tyle od wiatru, co od oczu innych. Inni jeszcze — przyjechali odegrać przed urlopową widownią role ze swoich marzeń. Wcielają się w postacie, którymi chcieliby być.

Jest więc na co popatrzeć i czym się bawić, ale nie każdy to potrafi i nie wszystkim to wystarcza. Toczy się więc wakacyjne życie między plażą, parkietem, kawiarnią, stolikiem do bridge'a i telewizyjnym ekranem. Normalnie.

Przyjechali tu z całego kraju — głównie z Warszawy, Łodzi, Krakowa i Śląska. Skoro przyjechali, mają widać pieniądze. Trzeba zatem wyciągnąć jak najwięcej od turystycznej stonki. Idea ta przyświeca wszystkim ludziom obrotnym. W kinie „Żeglarz" w Jastarni, które kulturalnie obsługuje turystów z Juraty, Chałup i Kuźnicy, pierwsze miejsce normalnie kosztuje 8 zł, drugie — 6 zł. Na filmy panoramiczne cena wzrasta o 50 proc. Tak jest przez 10 miesięcy. W sezonie często za bilet trzeba płacić 18 lub 14 zł. Gdyby za ten haracz ściągany w sezonie na Wybrzeżu miały tu powstać nowe, wygodne kina. „Żeglarz" jest ciasny, duszny i brzydki. Mimo to na brak frekwencji nikt nie narzeka. Na bezrybiu i rak ryba.

Na Półwysep Helski przyjeżdża tradycyjnie wielu znanych aktorów i literatów. Tegoroczną atrakcją Jastarni był Wojciech Młynarski. Przez cały lipiec późno po północy pod oknami mieszkania Młynarskich odbywały się... koncerty. Śpiewano: „Jesteśmy na wczasach" i „Sto lat". Popularność autora i wykonawcy była tak wielka, że przed jednym z koncertów zgłosił się do niego tego zapity ojciec pięciu córek oświadczając:

— Bogdan trzymaj się! My cię szanujemy... rodzinnie. Ja — Kmieć jestem — i moje pięć córek: Ala, Basia, Kasia i...

Wyliczanie szło mu dość opornie więc wygrzebał z przepaścistej kieszeni zrobionego z muszelek żółwia i wręczył go speszonemu artyście.

Cały koncert przesiedział pod salą. Świeże powietrze zrobiło mu dobrze, bowiem po koncercie ponownie stanął przed piosenkarzem i rzekł:

— Młynarski, bynajmniej, ja cię od razu poznałem.

— Czy mam wobec tego zwrócić żółwia? — spytał artysta.

— Nie, to dla ciebie. Bo my cię szanujemy... rodzinnie. Ja — Kmieć jestem — moje pięć córek...

Aktorzy i piosenkarze wypoczywają nad morzem, a przy okazji dają koncerty i recitale. Występowali więc na Gdańskim Wybrzeżu: Wojciech Młynarski, Adrianna Godlewska, Piotr Szczepanik, Bogdan Łazuka, Jacek Fedorowicz, Joanna Rawik, Jerzy Połomski, Adrianna Rodowicz, Kazimierz Grześkowiak i inni.

— No dobrze — pytał jak zawsze sceptyczny Paweł Lisek — a jak któregoś lata nikt nie przyjedzie, to co będziemy oglądali i kogo słuchali? Co wtedy pocznie gdańska „Estrada"? Nie samymi festiwalami człowiek żyje.

— Nie trzeba się martwić — uspokajał wieczny optymista, rybak i helski patriota Antoni Monokel — tu się zawsze przyjeżdża. Tu jest morze, ryby i jod. Dużo jodu, tego tam w głębi lądu nie macie.

CZY BĘDZIE MAMAJA NA HELU?

„I oto już dziś snuje się po niektórych głowach obłędna myśl — pisał niedawno w „Kulturze" Hamilton — by z Półwyspu Helskiego uczynić bałtycką Mamaję, by wspaniałe tereny wybrzeża morskiego między Ustką a Łebą wyasfaltować i oddać turystom skandynawskim, by iść wzorem niektórych naszych południowych sąsiadów, którzy uczynili ze swego wybrzeża zagłębie dolarowe i dziś czują się we własnym kraju jak w koloniach. Plany te pewnie nigdy nie doczekają się realizacji"...

Wiatr od zatoki przynosi do Jastarni okropny zapach gnijących odpadków. Wała dze sanitarne — turysta płaci tu taksę klimatyczną — toleruje w pobliżu osady dwa olbrzymie śmietniki. W Jastarni poczta, posterunek milicji, Osiedlowa Rada Narodowa mieszczą się w prywatnych, nie najlepszych budynkach. Osławiony „Dom Zdrojowy" w poprzednim roku zamknięty, w tym otwar-

ALARM nie tylko dla kierowców

BOGDA MADEJ

Dawno już ktoś wymyślił termin — alarm na drodze. Przyjął się od razu i od tej pory często gości na szpaltach prasy codziennej, najczęściej poniedziałkowej. Znamy go wszyscy, i zmotoryzowani i piesi użytkownicy dróg. Przypomina o tragicznych liczbach, za którymi kryją się rozbite wozy, ranni, śmierć. Przypomina o przestrzeganiu przepisów, o uwadze zwielokrotnionej ostrożnością. Czytamy notatki prasowe o wypadkach, komentujemy je, powtarzamy — lepiej powoli, niż wcale. A prasa ciągle donosi — „Znów tragiczne żniwo po niedzielnych wyjazdach za miasto", „Zderzenie samochodu z pociągiem", „Autobus wiozący śmierć"...

Żeby więc bliżej i dokładniej zapoznać się z wiecznie aktualnym problemem bezpieczeństwa na drodze, za przedmiot rozważań wybraliśmy PKS. Bo to instytucja powszechnie znana i każdy korzysta z jej usług, a w dodatku, wśród łódzkich i wojewódzkich transportowców, wiodąca.

* * *

Na początek kilka fragmentów z akt służbowych:

„30. I. 68 kierowca z II Oddziału w Łodzi prowadząc autobus marki „skoda" wjechał do przydrożnego rowu, a następnie autobus za rowem zderzył się z drzewem. Po wyciągnięciu autobusu na drogę, stwierdzono wyrwanie sworznia kulistego z drążka podłużnego układu kierowniczego".

W ruchu autobusowym w I półroczu 1967 r. zanotowano 22 wypadki, w tym samym okresie roku 1968 — 21.

W ruchu towarowym PKS w 1967 roku zanotowano — 46, w roku 1968 — 50 wypadków.

„18. III. 68 r. w autobusie marki „san" prowadzonym przez kierowcę z IX Oddziału Radomsko, nastąpiło rozłączenie się ramienia kierowniczego zwrotnicy z lewej strony, co było bezpośrednią przyczyną zderzenia autobusu z drzewem. Wskutek zderzenia 2 osoby doznały lekkich obrażeń ciała. Straty wynoszą około 35 tys. zł. W pracy IX Oddziału Radomsko stwierdzono szereg uchybień — niedopełnianie obowiązków przez pracownika kontroli technicznej i stacji obsługi".

W I półroczu bieżącego roku zarejestrowano wzrost wypadków z przyczyn technicznych. Stanowią one 4,2 proc. ogólnej liczby.

„W dniu 12. IV. o godz. 17.48 kierowca z III Oddziału w Sieradzu będąc na delegacji prowadził autobus marki „san" w ramach przewozów pracowniczych. W czasie przewożenia pracowników do miejscowości Wilamów urządzono postój połączony ze spożyciem alkoholu. Nietrzeźwy kierowca, skręcając podczas jazdy w prawo, stracił panowanie nad kierownicą i najechał na drzewo rosnące po lewej stronie drogi"...

W ruchu osobowym w roku 1967, w wypadkach zginęło 8 osób, w 1968 — 4 osoby. Natomiast w ruchu towarowym w 1967 r. zginęły 4 osoby. W 1968 r. — 10.

„Dnia 17. VI. 68 o godz. 12.05 kierowca i konduktor autobusu PKS nr rejestracyjny FWO9-01 w czasie krótkiego postoju w Osjakowie weszli do miejscowej gospody, gdzie wypili po dużym kuflu piwa".

Niepokojąco wzrosła liczba wypadków spowodowanych nietrzeźwością kierowców. W I półroczu 68 r. alkohol był przyczyną 5,6 proc. z ogólnej liczby wypadków.

„Dnia 16. VI. 68 r. o godz. 7.30 kierowca autobusu PKS nr rejestracyjny IR-46-79 w miejscowości Buczek wyprzedzał na niewidocznym zakręcie zmuszając motocyklistę jadącego z przeciwnej strony do hamowania i zjechania na pobocze".

Nastąpił wzrost wypadków z winy kierowców PKS, którzy spowodowali 46,5 proc. ogólnej liczby wypadków w tym przedsiębiorstwie. Najważniejsza przyczyna to — nieostrożna jazda, brawura, lekceważenie znaków drogowych.

Przerwijmy w tym miejscu cytowanie akt. Gdyby na tym skończyć, wnioski byłyby dość ponure i dla PKS, i dla pasażerów. Że jednak każdy medal ma dwie strony, byłoby to krzywdą dla kierowców, mechaników samochodowych, instruktorów, słowem dla całej placówki PKS.

Posłuchajmy zatem drugiej strony...

PKS

Zarząd Wojewódzki i trzy Oddziały PKS mają swoją siedzibę w Łodzi, reszta oddziałów rozrzucona jest po województwie. PKS to oczywiście nie tylko transport osób, ale także przewożenie różnego rodzaju towarów. Dodajmy, przewóz na terenie całego kraju, a często również poza granicami. Olbrzymi tabor samochodowy potrzebuje olbrzymiej ilości ludzi, takich, którzy muszą pamiętać, że czasem drobne niedociągnięcie w ich pracy może spowodować groźny w skutkach wypadek. I oto, napotykamy na problem numer jeden — skąd wziąć dobrych kierowców, kiedy ich brak. W dużym stopniu problem rozwiązuje istniejąca przy naszym Okręgu PKS Szkoła Zawodowa, która uczy zawodu kierowcy przez trzy lata. Jeśli porównać czas nauki w tej szkole z 3-miesięcznym kursem samochodowym, nie trzeba udowadniać, którzy kierowcy mają lepsze kwalifikacje. Mimo szkoły, mimo kursów dokształcających kierowców z niższą kategorią, są jeszcze wolne miejsca przy kierownicy. Przyczyny — surowe konsekwencje w stosunku do niezdyscyplinowanych, aż do wymówienia, chłonność rynku, a stąd przechodzenie do innych przedsiębiorstw, wreszcie spadek popularności zawodu kierowcy.

Wspomniane surowe konsekwencje to nie tylko upomnienia, nagany, czy wreszcie kary finansowe. Kierowca, który miał wypadek, obojętnie czy z własnej winy, czy nie, jest wzywany na wewnętrzny egzamin. Podobno jest to doskonała metoda wychowawcza, bo kierowcy bardzo się takiego „przesłuchania" boją. Nie wychowuje się natomiast kierowców-pijaków; po stwierdzeniu, że krew jest wzmocniona alkoholowymi promillami, delikwent dostaje **natychmiastowe zwolnienie.**

Rozbudowany system szkolenia i wychowania kierowców daje rezultaty przede wszystkim w transporcie osobowym. Wzrost wypadków w transporcie towarowym jest z tym faktem ściśle powiązany. Lepszych kierowców zabiera się do przewożenia ludzi. Cele takiej gospodarki są oczywiste — większe bezpieczeństwo dla pasażerów.

I trzeba oddać sprawiedliwość znakomitej większości kierowców PKS, którzy dbają o dobre imię przedsiębiorstwa. Jakiś margines, który psuje opinię znajdzie się wszędzie. Kłopoty z kierowcami widoczne są przede wszystkim w I Oddziale, który rozwozi towary na terenie miasta. Częste konflikty z dostawcami, krótkie trasy, ciasnota łódzkich ulic, wreszcie nie najwyższe zarobki wpływają na tzw. płynność kadr. Jeżdżą najczęściej młodzi chłopcy, o niewielkim jeszcze doświadczeniu i takiej samej dyscyplinie. Jeżdżą krótko i zmieniają przedsiębiorstwo. Stąd z I Oddziałem stale są kłopoty i stale narzeka na niego milicja.

* * *

Tutaj znajdziemy drugi równie ważny problem, który ma wpływ na ilość wypadków. Stan techniczny. **Z 320 pojazdów z I Oddziału, aż 153 ma przekroczony czas eksploatacji o co najmniej 10 lat.** Dlaczego jeszcze jeżdżą? Proste, bo na siebie nie zarobiły, a mówiąc jaśniej, nie wyjeździły jeszcze kilometrowego limitu. Dlaczego? Bo jeżdżą na krótkich 3—4-kilometrowych łódzkich trasach. A na naszych brukach samochody się psują.

Kłopotów związanych ze stanem technicznym jest więcej. Najważniejszy — brak mechaników samochodowych. To nie znaczy, że ich w ogóle nie ma. Są, ale pracują w fabrykach, np. jako ślusarze, gdzie za te same pieniądze pracują w o niebo lepszych warunkach. A takie źródło zarobku jak tzw. „fuchy"?

Nie najgorsze i pewne. Równie ważny kłopot — brak właściwych urządzeń diagnostycznych do dokładnych badań stanu technicznego pojazdów. Niespieszno nam do produkcji własnej, eksport kosztuje i tak koło się zamyka. W PKS zrealizowano już projekt z pracy doktorskiej — urządzenie do badania silnika. To dobrze, ale takie urządzenie i całych szereg innych powinny być w sklepie. Od tego też zależy bezpieczeństwo.

* * *

Trzeci problem, tak samo ważny jak poprzednie — stały brak części zamiennych. Taki sobie drobiazg, nie ma opon. Drobiazg? Zdarta opona to poślizg, a stąd prosta droga — drzewo, zderzenie, ranni, zabici. I jeżeli trzeba sobie radzić w ten sposób, że nowy samochód rozbraja się z tylnych opon i zakłada je staremu na przód, bo już nie może jeździć, to jest to fakt karygodny. Ale ta kara nie dla transportowców.

Przy tym wszystkim Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej należy w kraju do okręgów o najmniejszej liczbie wypadków. To cieszy i powinno dopingować na przyszłość.

KIEROWCA

z autobusu jest rozgoryczony. Żaden z nas — powiada — nie jest mordercą. Nikt nie chce wypadku, bo nikt nie jest samobójcą. Nawet ten, co szarżuje za kółkiem i myśli, że jak ma duży wóz, to jest panem szosy, też nie. Tyle że głupi. A tak się na nas patrzy.

Podejrzewam, że nie tylko kierowca z PKS jest rozgoryczony. Na złe jeszcze drogi, których modernizacja nie nadąża za szybkim rozwojem komunikacji. Na łódzki węzeł, który należy do najgorszych w Polsce i kierowca z innego miasta, traktuje przejazd przez Łódź jako karę.

Warunki pracy w „żubrach" i „starach" z przepisami bhp niewiele mają wspólnego. Ciasnota w kabinie to zło najmniejsze, gorsze — upał, latem i zimno podczas zimowych podróży, — największe — hałas. Nie wiem, czy zanim przystąpiono do produkcji mierzono, ile decybeli wbija się w ucho kierowcy przy pracy silnika w „żubrze". Chyba nie. A „lotnisko w głowie" to w tych warunkach wcale nie przenośnia. I nie trzeba udowadniać, że ten hałas ujemnie odbija się na sprawności psychicznej kierowcy, a od tej z kolei zależy bezpieczeństwo na drodze. Kierowca z długich tras narzeka na przemęczenie. Ma prawo do wypoczynku, tyle że nie zawsze jest gdzie wypocząć. PKS postarał się o pokoje gościnne na trasie do Gdyni. I od razu zmalała ilość wypadków na tej trasie.

Kierowca jest rozgoryczony, bo wiosną — złe drogi po zimie, latem — motocykliści i rowerzyści, jesienią — mgły, zimą — śnieżyce i gołoledzie. Kierowca jedzie i często myśli o swej przyszłości w czarnych barwach. Szpital, cmentarz, więzienie. Stąd ucieczka od zawodu. Stąd nie wszyscy dopracowują się emerytury, na którą trzeba czekać do sześćdziesiątego piątego roku życia. A tu już szybkość reakcji nie taka jak trzeba i wzrok się zepsuł, więc trzeba szukać dla starego kierowcy jakiegoś etatu, gdzie mógłby do swojej emerytury dopracować. I znów rozgoryczenie, bo na przykład kolejarze pracują tylko do sześćdziesięciu lat.

* * *

Nie na co dzień wiąże się te sprawy z bezpieczeństwem na drogach. A przecież każda z nich ma swój udział, nie mierzony wprawdzie w liczbach, ale ważny. Ot, chociażby poradnie zdrowia dla kierowców, poradnie, gdzie lekarz mógłby zbadać kandydata na kierowcę, badając jego warunki psychotechniczne. Nie każdy może prowadzić wóz, a przecież często dotychczasowe badania lekarskie, bez odpowiednich przyrządów, tego nie wykryją.

Ot, chociażby osobny związek zawodowy dla kierowców. O ile wzrosłyby możliwości bezpośredniej kontroli i wychowawczego oddziaływania. Myślę tutaj chociażby o sądach koleżeńskich, czy dokładnych kartach ewidencyjnych nawet najmniejszego wypadku.

Pretensja pod adresem producentów samochodów. Niedawno „jelcz" przysłał zawiadomienie, żeby w serii samochodów sprawdzić układy kierownicze, bo okazało się, że są wadliwie skonstruowane. Po dwu latach. Drobiazg? W jednym z tych samochodów urwała się kierownica, dobrze, że był jeszcze w bazie. Propozycja dla milicji. Podczas kontroli na drogach należy dokładniej sprawdzać stan techniczny wozu. Pobieżne stwierdzenie, że kierunkowskazy i światła, działają, a opony jeszcze nie całkiem zdarte, to mało. Częściej należy sprawdzać kulturę jazdy, pozwoliłoby to karać od razu za bezpośrednie wykroczenie. Może, wzorem Zachodu, ustalić pewne odcinki dróg, gdzie kontrolowałoby się systematycznie szybkość jazdy? Oczywiście tam, gdzie trzeba jechać wolniej. Ustawione tablice z napisem „Kontrola szybkości" z pewnością studziłyby pośpiech.

Następna propozycja. Do odpowiedzialności powinny być pociągnięte te przedsiębiorstwa, które zatrudnia ją kierowców zwolnionych dyscyplinarnie. Brak kierowców w niczym nie tłumaczy istniejących faktów, czyżby nikt nie dostrzegał tu ogromnej, społecznej odpowiedzialności?

* * *

Zestawienie w niniejszym artykule, szeregu faktów, jak również wybór jednego przedsiębiorstwa transportowego, nie jest przypadkowe.

Po przeczytaniu pierwszej części artykułu, opinia czytelnika byłaby jednoznaczna. Jeśli uległa ona zmianom, po dalszej lekturze, to dobrze. Bo wypadek to nie tylko wina kierowcy, albo jego przedsiębiorstwa. O bezpieczeństwie na drodze muszą pamiętać nie tylko oni.

---

to tylko dla ratowania państwowej gastronomii. Mimo dwu zim nie potrafiono przeprowadzić remontu.

— Przed wojną na strzeżonej plaży były ślizgi dla dzieci — wspomina Antoni Monokel — i inne urządzenia. Kiedyś były nawet łazienki. Dziś tylko samotna budka ratowni ka, telefon, łódka i tłok. Taki sam na strzeżonej jak i na dzikiej.

Od lat nic w Jastarni nie wybudowano, choć przecież turyści płacą taksę klimatyczną i gdyby tylko część z tych pieniędzy pozostała na miejscu, to byłoby tu zupełnie inaczej. Byłaby więc poczta, nowe ładne — choćby tylko w połowie takie jak na Helu — kino, odremontowany „Dom Zdrojowy". Byłby może jakiś hotel z prawdziwego zdarzenia, w pełni wyposażone pola namiotowe, więcej barów i smażalni ryb. W rezultacie — dając wiele turystom — można by wiele od nich wziąć. Niestety, podział nakładów inwestycyjnych jest tak pomyślany, że przesunięcie z przegródki do przegródki staje się w niektórych przypadkach wprost niemożliwe.

— Dla utrzymania czystości, konserwacji tego co jest — utrzymuje Antoni Monokel — nie trzeba znów tak wiele pieniędzy. Helscy rybacy dobrze sobie zdają sprawę z sezonowego znaczenia swoich miejscowości i chętnie poniosą odpowiednie wydatki i wezmą udział w czynie społecznym. Chcą jednak widzieć tego pozytywne rezultaty.

W wydanym przed 5 laty w... Warszawie — i dziś jeszcze sprzedawanym na Półwyspie Helskim — ubożuchnym folderze — „Mierzeja Helska i Jasne Wybrzeże" można przeczytać, że w Juracie „w przyszłości ilość miejsc dla wczasowiczów wzrośnie do 4.000", „przewiduje się, że we Władysławowie i Chłapowie będzie mogło znaleźć jednorazowo nocleg 18.000 osób. Wczasowicze i turyści otrzymają nowe domy wczasowe oraz pola namiotowe".

— Pole namiotowe — ironizuje Paweł Lisek — to nie tylko plac ogrodzony drutem i napis informacyjny.

NIE SAMYM POWIETRZEM

Któregoś dnia wybrali się dalej niż zwykle i natrafili na dwa bunkry mocno osadzone w piasku.

— Czyje to — zastanawiał się Henryk Kosakiewicz — chyba poniemieckie?

Lisek miał inne zmartwienie. Denerwowała go „bezczynność" betonowych kolosów.

— Stąd blisko do Kuźnicy — mówił — można by tu jakąś kawiarnię urządzić. Lody, kawa, lampka wina, a wieczorem tańce. Ludzie mieszkają niedaleko, więc przychodziliby, a gdyby tak porozumieć się ze ZBoWiD i jakąś wystawę o wojennej przeszłości Helu zorganizować.

Przy okazji zapytali Monokela o dzieje bunkrów.

— Polacy w 1939 je zbudowali — zaspokoił ich ciekawość.

— To robota Niemców — Tomasz Trzeptowski — miejscowy urzędnik był innego zdania. — Polacy tylko przekopali półwysep w najwęższym miejscu — koło Kuźnicy i jak się bronili. Bunkrów nie budowali.

Hel Niemcy zajęli dopiero 2 października 1939 roku, kiedy nie było już amunicji, środków opatrunkowych, jedzenia, a ludzie ledwo trzymali się na nogach ze zmęczenia. Ślady bohaterskiej walki polskiego żołnierza można znaleźć tylko w Muzeum Rybackim w Helu, gdzie na skromnej planszy umieszczono zdjęcia jednego z dział artylerii nadbrzeżnej, w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, gdzie jedno działo z helskiej baterii stoi jako eksponat i w nazwie jednej z ulic Helu — ulicy Komandora Steyera — dowódcy obrony Helu. Na wielkiej mapie Ziemi Puckiej zaszczytne miano miejsca historycznego przypadło tylko stolicy powiatu.

W Helu, w starym, poewangelickim kościele mieści się muzeum. Zgromadzono kilka ciekawych, ale w większości przypadkowych eksponatów. Jest to, co wyrzuca morze lub co ludzie uznają już za zbędne. Mało i skromnie. A przecież jest co pokazać. Jest czym się pochwalić. Pierwszy historyczny przekaz o Jastarni i Helu pochodzi z 1378 roku. Pod Kuźnicą i Chałupami królowie polscy forty stawiali. Na Mierzei znajduje się najstarszy i jedyny ośrodek polskiego rybołówstwa morskiego. Pełno tu wszędzie tradycji walki o polskość. Działacze kaszubscy Antoni Abraham i Tadeusz Rogala do Wersalu pojechali, aby na miejscu o przyszły los Pomorza walczyć. 28 czerwca 1919 roku, na 7 miesięcy przed oficjalnym przyłączeniem Pomorza do Polski, u ujścia rzeki Piaśnicy wbito pierwszy słup graniczny, z napisem Polska.

W Jastarni działają jeszcze dziś rybackie związki — maszoperie — dawniej zakładane dla ułatwienia połowów — wspólnego manewrowania ciężkimi sieciami, dziś dzielą się łowiskami, otaczają opieką sieroty i wdowy po rybakach. Przyszły rok przynie sie zaczątek rozbudowy portu, a obecny — szkółki morskiej LOK. Pod banderą LOK pływają duże jednostki żaglowe: „Janek Krasicki", „Henryk Rutkowski", „Mariusz Zaruski", „Dar Opola" i „Wielkopolska".

Jest więc co pokazywać, jest czym zadziwiać szczura lądowego, który ciekaw jest morskich dziwów i nie tylko po sam jod tu przyjeżdża. Potrzeba opracowania koncepcji nadmorskiej turystyki, zgrania wysiłków, podjęcia trudnego i ciągle bardzo niepopularnego skoordynowanego działania. Nie zapominajmy bowiem, że stopniowo, ale systematycznie rosnąć będzie u nas czas wolny. Już obecnie „Tezy KC PZPR na V Zjazd partii" zapowiadają wzrost czasu wolnego. Wielu grupom pracowników zwiększy się ilość dni urlopowych. Po 1970 roku nastąpi dalszy wzrost czasu wolnego. Coraz więcej ludzi będzie chciało wypoczywać nad morzem, w górach i nad jeziorami. Czy startując z minimalnej, turystycznej bazy, przy braku koncepcji i nawyków koordynacyjnych, potrafimy sprostać temu zadaniu?

Mam co do tego poważne obawy. Dlatego podzielam zdanie Hamiltona — nadbałtycka Mamaja nam nie grozi! Gorzej, bo nie grozi nam również oryginalny i ciekawy region turystyczny. A szkoda!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

RYSZARD DOROBA

Mój przyjaciel Filon

Pożegnanie wakacji

Szedł po drewnianym pomoście przy akompaniamencie donośnych w wieczornej ciszy odgłosów własnych kroków i patrzył na mrugające światełka po drugiej stronie jeziora. Wydawały się one świetlnymi znakami, wysyłanymi przez odległych sygnalizatorów, donoszących nieznanym szyfrem jakieś tajemne wiadomości. Chciał wierzyć, że to on jest ich adresatem, ale wiedział na pewno, że nikt mu nie ma nic ważnego do przekazania, ani w ten ani w inny sposób. Mruganie świateł było po prostu złudzeniem, wywołanym odległością, było halucynacją wpatrzonych w jeden punkt oczu. Mimo to czuł się mniej samotny w ten pożegnalny wieczór, czuł się jakby przez kogoś żegnany i zachęcany do zachowania dobrych wspomnień z kończącego się już urlopu.

Oparł się o balustradę pomostu i słuchał jednostajnego plusku fal, pracowicie nacierających na jego drewnianą konstrukcję, niezmordowanych w swym nie kończącym sie nigdy ruchu. Napływały jedna za drugą i jedna podobna do drugiej, posłuszne i bezwolne. Ten ich monotonny napór przenikał go świadomością trwania świata, przypominając jednocześnie o przemijaniu najbardziej istotnego przejawu tego trwania — życia. To przypomnienie, zsumowane z leciutkim smutkiem pożegnania, nie pozwoliło mu odbierać w pełni spokoju wieczoru, cichego żywą ciszą dalekich buczeń parowców, narastających i cichnących wizgów samochodów na szosie, posapywań lokomotywy przejeżdżającego za nią pociągu i tego niegłośnego plusku fal.

Nie znosił pożegnań z miejscami, jak dawniej nie znosił pożegnań z ludźmi, i zawsze obawiał się ich podświadomie. Teraz także — przechylony przez barierę pomostu na jeziorze — myślał, że pewnie już tu nigdy nie wróci, a fale niezmiennie będą napływały na te drewniane bale i rozbijały się o nie białą pianą, przez wszystkie lata jego życia i wszystkie lata potem.

Zagłębiony w myślach aż wzdrygnął się, usłyszawszy głośny trzask blisko siebie. Gwałtownie odwrócił głowę w tamtą stronę i zobaczył nikły odblask ognia. Ktoś siedzący chyba na schodkach z boku pomostu, prowadzących w wodę, zapalił zapałkę. Przełamując zaskoczenie postąpił parę kroków i zobaczył nad samą powierzchnią jeziora skuloną sylwetkę kobiecą z rozżarzonym papierosem w ustach. Wpatrzywszy się w nią rozpoznał dziewczynę z sąsiedniego domku.

Z nagłym uczuciem radosnego niepokoju postanowił zagadnąć ją. Miał do tego prawo, bo zamienił z nią sporo zdawkowych, okolicznościowych zdań na różne zdawkowe, okolicznościowe tematy, związane z pogodą i jeziorem. To było wszystko, na co zdołał się odważyć i co zdołał osiągnąć, choć dziewczyna nieodparcie przyciągała jego wzrok swoją posępną trochę urodą, smukłością i kształtnością postaci, muzycznością ruchów i zapierającą oddech młodością. Często patrzył na nią, jak w skąpym kostiumie opalała się na pomoście, zawsze otoczona zmieniającym się garniturem rówieśników, jak pewnie i lekko wypływała z nimi daleko w jezioro. Nawet przed sobą samym nie mógłby zataić, że zawsze wybierał takie miejsce, żeby być blisko niej i móc patrzeć na nią do woli.

Korzystając z tego niewielkiego swego prawa zapytał:
— Nie boi się tak pani sama pośród nocy?
— A czego się mam bać? — odpowiedziała stereotypowym pytaniem.

Nie kontynuował tych mało odkrywczych rozważań.
— Żegna s'ę pani z jeziorem?
— Nie, tak sobie siedzę.
— Nie chce się pani spać?
— O, nie. Jeszcze nie jest tak późno.

Odpowiadała mu grzecznie, jak zwykle i jak zwykle zdawkowo, ale wyczuł, że nie jest zachwycona, ani tym spotkaniem, ani tą rozmową.
— To dobranoc pani. Na mnie już czas. Ludzie w moim wieku już dawno powinni być w łóżku — dodał z gorzką kokieterią.
— Dobranoc.

Opuścił pomost, ale nie zamierzał jeszcze iść spać. Usiadł na ławce w cieniu drzewa i z oddali obserwował dziewczynę. Siedziała tak jeszcze długo, prawie bez ruchu, paląc papierosa za papierosem. Choć robiło się coraz chłodniej nie opuszczał swego stanowiska obserwacyjnego, czekając zaintrygowany, kiedy podniesie się i pójdzie. Lecz zanim to nastąpiło, usłyszał wpierw pijackie śpiewy i okrzyki wracających z jakiejś restauracji młodzieńców z turnusu, prawie co wieczór tak zakłócających spokój nocy i sen zmęczonych słońcem i wodą współtowarzyszy. Dzisiaj darli się jeszcze głośniej, bo przecież popili sobie ostatni raz w tym składzie i w tym miejscu.

Dziewczyna nagle wstała i nasłuchiwała, zwrócona w stronę niewidocznej jeszcze kompanii wesołków. Pojawili się wreszcie zza drzew i potykając się, popychając wzajemnie ciągnęli w stronę pomostu. Kiedy już byli blisko odłączył się od nich jeden i zbliżył się do dziewczyny. Goniły go niewybredne i wulgarne dowcipy pozostałych, a on odkrzykiwał im w podobny sposób, nie zatrzymując się jednak. Dziewczyna wyszła mu naprzeciw i poczęła robić pewnie jakieś wymówki, nie podniesionym i wzburzonym, a raczej rozżalonym głosem. Coś jej odpowiadał urywanie i jakoś udobruchał, bo już po chwili objęci poszli zgodnie w kierunku domków.

Kiedy mijali ławkę, na której siedział, poznał tego grubo spóźnionego na pożegnalne spotkanie. Przypomniał sobie jego pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz z wiecznie osiadłym na niej uśmieszkiem, jego blisko siebie osadzone oczka, zawsze zaczerwienione od niewyspania i poczuł wyraźnie, że do smutku pożegnania dołączył jeszcze smutek inny, może bardziej dojmujący, którego nie chciałby nazywać ani określać, aby go jeszcze bardziej nie pogłębiać.

Wstał zziębnięty z ławki, wszedł na pomost i usiadł na schodku, który pewnie zachował jeszcze resztki ciepła młodego ciała dziewczyny. U jego stóp przelewały się fale jeziora, napływające niezmiennie, jedna za drugą.

Nocna podróż

Pociąg łomotał przeraźliwie i rzucał tak na rozjazdach, że nie mógł zasnąć, choć był sam w wagonie i leżał wygodnie na miękkim, wyścielanym siedzeniu. Nie mógł spać w pociągu i szczerze zazdrościł tym, którzy potrafią — ledwie tylko usiądą i zamkną oczy — z miejsca zasnąć. Nie była mu, niestety, dana ta nierzadka wcale umiejętność i nie lubił długich, nocnych podróży, które męczyły go w trójnasób — hałasem, bezsennością i unieruchomieniem.

Leżał więc, przewracając się z boku na bok i myślał nieskładnie ułamkami myśli, oderwanymi od siebie i nie kończonymi, chcąc w ten sposób odegnać czepiającą się go natrętnie chęć spoglądania na zegarek. Patrzył już na niego wiele razy, ale wcale nie przyśpieszało to biegu wskazówek.

Mrok przedziału zaczęły rozjaśniać krótkie błyśnięcia mijanych latarni; pociąg zwalniał, zbliżając się do jakiejś stacji. Zgrzytnęły gwałtownie hamulce i aż musiał przytrzymać się, żeby nie spaść z ławki na podłogę.

Trzasnęły drzwi wagonu, na korytarzu drobno zastukały kroki i po chwili przed zajmowanym przez niego przedziałem zatrzymała się kobieta z walizką w ręku i przez szybę usiłowała dojrzeć w ciemności, czy są wolne miejsca.

Zerwał się na równe nogi i odsunął drzwi.
— Proszę bardzo. Jest dużo miejsca — powiedział.

Kobieta jakby zawahała się przez chwilę, ale zdecydowała się wejść.

Odebrał od niej dość dużą walizkę i umieścił ją na półce.
— Przepraszam, że pana obudziłam — powiedziała przybyła.
— Ależ nie. Nie spałem. Nie mogę sypiać w pociągu — zaprzeczył skwapliwie, rad, że odezwała się do niego i chcąc podtrzymać rozmowę.

Kobieta jednak nic już nie powiedziała. Zdjęła płaszcz, powiesiła go i usiadła naprzeciw, ale nie przy oknie, jak on, tylko w drugim rogu przy drzwiach. Pociąg ruszył, dworcowe światła omiotły kilkakrotnie jej twarz i nagle narzuciła mu się pewność, że już kiedyś musiał ją widzieć, że przed wieloma laty musiał się z nią zetknąć. Zaczął intensywnie przeszukiwać zaułki pamięci, chcąc sobie przypomnieć okoliczności tego zetknięcia, ale w żaden sposób nie mógł wpaść na właściwy trop. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości — podróż już nie będzie mu się dłużyła, bo będzie myślał o siedzącej razem z nim w przedziale kobiecie, będzie patrzył na nią spod oka i czujnie reagował na każdy jej ruch. Będzie także usiłował znaleźć dla niej właściwe miejsce w krajobrazach swych wspomnień, osadzić ją w jakimś czasie i w jakiejś przestrzeni, która kiedyś obejmowała i jego.

Stukot pociągu odmierzał coraz to nowe kilometry, a on siedział, zapomniawszy o zegarku. Teraz chciał, żeby minuty trwały dłużej, żeby pociąg raczej zwalniał, niż przyśpieszał swój bieg, żeby ta ich wspólna, nocna podróż nigdy nie miała końca. Bo jego wyobraźnia, pobudzona jej bliską obecnością, wywoływała w nim zmieniające się jak na kinowym ekranie obrazy, przedstawiające tylko ich oboje, ale zawsze inaczej, zawsze w innej scenerii i w innych sytuacjach. Nie było to już przypominanie, ale tworzenie wydarzeń, których realnie nie było, a jednak odczuwanych i przeżywanych tak głęboko, jakby działy się naprawdę.

Dopiero pierwsze szarości świtu, wnikające do przedziału, z wolna zaczęły unicestwiać te wyimaginowane sekwencje wartko toczącego się filmu o perypetiach ich miłości, zakłócając ich rytm i pozbawiając je ostrości, aż blakły coraz to bardziej, jak nieutrwalona fotografia, poddana działaniu światła.

I wtedy w pełnym blasku dnia, wróciło znowu to pytanie, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Skąd ją znał i gdzie ją spotkał? Czy tylko spotkał, a nigdy nie poznał? Przeżył dostatecznie dużo lat, aby przesunęło się obok niego wiele kobiecych twarzy, zatrzymując się na krócej lub na dłużej, ale częściej nie zatrzymując się wcale. Ponieważ nie mógł sobie niczego o niej przypomnieć, najprawdopodobniej chodziło po prostu o ten ostatni przypadek. Pewnie zobaczył ją raz a potem stracił z oczu na zawsze. Ale dlaczego zapamiętał? Ta sprawa wydała mu się łatwa do wyjaśnienia, jemu, który znał siebie dobrze, bo chciał się znać takim, jakim był, i stać go było na dostrzeganie w sobie takich cech, jakich nie chciałby wyjawić nikomu. W nich właśnie, w tych uświadamianych sobie, choć może wstydliwych właściwościach jego usposobienia należało szukać wyjaśnienia wszystkiego.

Rzecz cała polegała na tym, że jego życie uczuciowe nie przebiegało w zwykły, typowy i normalny sposób, w taki, jak u innych jego rówieśników. Ci już od szkolnych lat podkochiwali się w znajomych dziewczynach, umawiali się z nimi na randki, tańczyli na wieczorkach i całowali po parkach. Potem żenili się z nimi i zdradzali je. A on nie był taki. Znajome dziewczyny wydawały mu się nazbyt znane, aby zaprzątać sobie nimi głowę. Były podobne do siebie, jednakowe w reagowaniu na zaczepki chłopców, chichotliwe i bezmyślne. Nie interesował się nimi i nie dawał się pobierać na ich powłóczyste spojrzenia. Ale to wymagało kompensaty, bo przecież na drugą płeć nie był nieczuły. I tę kompensatę znajdował.

Kiedy zobaczył nieznajomą dziewczynę, która szczególnie spodobała mu się, myślał o niej, tworząc sobie taki jej wizerunek, jaki chciał. Taka ponętna nieznajoma mogła mieć wszystkie przymioty ducha, które go pociągały, mogła być mądra, subtelna, rozsądna i zrównoważona, mogła być zupełnym przeciwieństwem tych wszystkich znajomych dziewczyn, które go otaczały. Jej właśnie — przypadkowo spotkanej nieznajomej — składał w przedsennych majakach najżarliwsze wyznania miłosne, z nią przeżywał w marzeniach chwile pełne upojeń, porażające i niezapomniane. W ten sposób kobiety widziane przelotnie na ulicy, w kawiarni, w kinie lub gdziekolwiek indziej, zaludniały jego życie, wypełniały sobą jego najintymniejsze przeżycia i stawały się bliskie, jakby znajome.

Jedną z nich była najprawdopodobniej towarzyszka nocnej podróży. Spojrzał na nią. Siedziała z zamkniętymi, lecz drgającymi powiekami, odgradzając się od niego pozorami snu. Uśmiechnął się do siebie, w końcu raczej zadowolony, że unika błahej może i nieskładnej kolejowej rozmowy.

A kiedy pociąg dobrnął wreszcie do końcowej stacji i stanął wśród zgrzytu hamulców i trzaskań drzwiami przepychających się ku wyjściu podróżnych, pożegnał ją ciepłym spojrzeniem, jak osobę bliską, z którą rozstaje się na zawsze.

JERZY WILMAŃSKI

Teatr mój nieustanny

Strzela gałąź pod butem — strzelmy więc kielicha
Wieczór się mrozem ścina w szkliste oka kałuż

maskę załóż maskę załóż

Wiatr buszuje po ścianach po surowym tynku
Potykając się tańczy frasobliwy rausz

maskę załóż maskę załóż

Pod dzwoniącym i ostrym białym soplem mrozu
Nad kipiącym i złotym tyglem upału

maskę załóż maskę załóż

Odlot

W tym miejscu postaw kropkę
— osiwiała wrona
piskliwy wróbla terkot
zima wciąż ta sama

i nic więcej poza tym

poprzestań na fałszu
na bełkocie kursywy
na zimie poprzestań

a tam niech się kłębią napastliwe wróble

twoje ptaki szalone
— zwołać ich nie umiesz —
uleciały za smugę z piskiem pożegnania

Wołanie

Jak cię wołać — skrzyp mrozu nadchodzi
targa blachą parapetu wiatr
Jak cię wołać
Ściany w tynkach ciepłych
kto otworzy...
kto odtworzy ślad

Ten na śniegu
na wietrze
na chmurze

Jak cię wołać
jak zakląć
jak przekląć
motywacją retuszować suchą

A to tylko mrozu skrzyp stąpa
a to tylko targa blachą wiatr

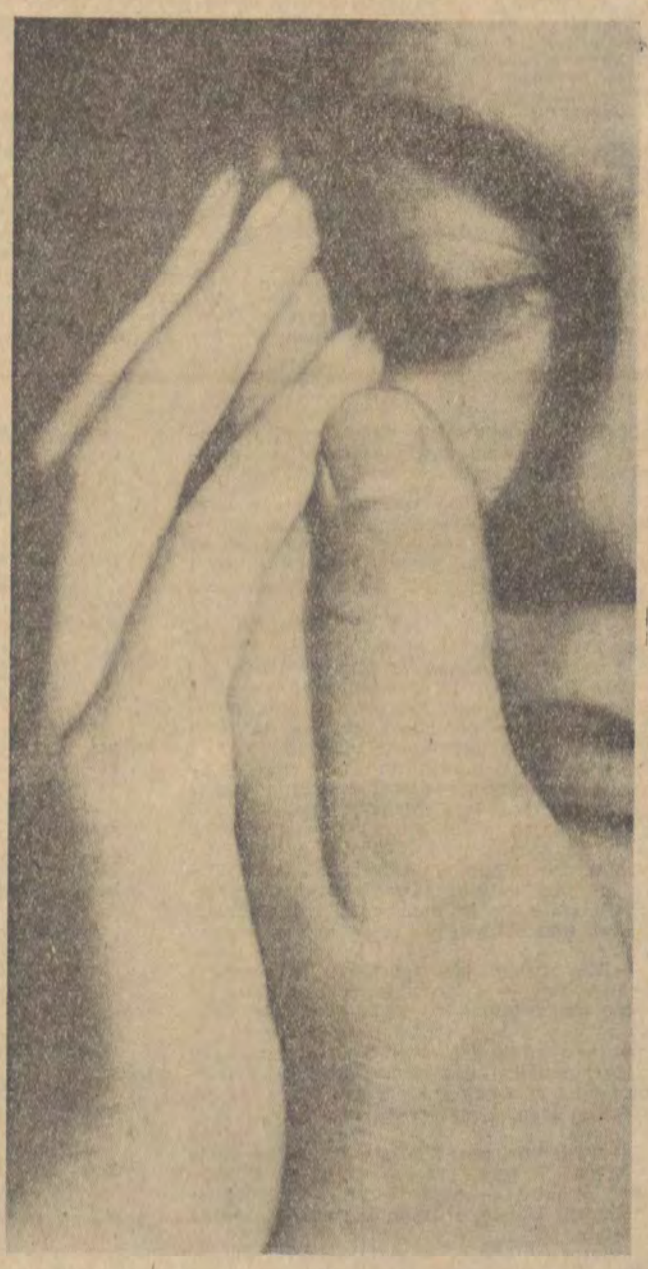

REDAKCJA NASZA ZWRÓCIŁA SIĘ DO LUDZI NAUKI I KULTURY NASZEGO MIASTA I WOJEWÓDZTWA Z PROŚBĄ O WYPOWIEDZI NAŚWIETLAJĄCE DOROBEK I POTRZEBY W RÓŻNYCH DZIEDZINACH DZIAŁALNOŚCI TWÓRCZEJ. DZIŚ PUBLIKUJEMY WYPOWIEDŹ DOC. STANISŁAWA FIJAŁKOWSKIEGO, DOTYCZĄCĄ SPRAW ŻYCIA PLASTYCZNEGO.

Na życie naszego środowiska plastycznego wpływają lub mogłyby wpływać, oprócz odpowiednich urzędów, w pierwszym rzędzie:

1. Ożywiona w ostatnich latach i na ogół szczęśliwa działalność Związku Plastyków,
2. Muzeum Sztuki,
3. Całkowity brak krytyki artystycznej,
4. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych,
5. Działalność artystów.

Pragnę zabrać głos w sprawie muzeum i uczelni.

Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej w Łodzi powstała w 1931 roku i została przekazana do istniejącego wtedy od dwu lat Muzeum Historii i Sztuki. Stało się to zaś dzięki inicjatywie i staraniom Władysława Strzemińskiego przy współpracy Jana Brzękowskiego i Michel Seuphora w Paryżu. Były to drugie na świecie oficjalne zbiory sztuki awangardowej. Kolekcja została podczas wojny częściowo zdewastowana przez okupanta, lecz przeważająca jej część, na szczęście, ocalała. Ostatnio została nawet powiększona o ciekawe prace artystów polskich i obcych.

Muzeum Sztuki w Łodzi, dzięki swym zbiorom sztuki nowoczesnej, od samego początku odegrało ogromną rolę w walce o nowoczesny światopogląd artystyczny nie tylko w Polsce. Jego znaczenie sięgało daleko poza granice naszego kraju. Od początku swego istnienia związane było z działalnością grupy artystów decydujących o postępowym charakterze środowiska plastycznego w naszym mieście. Z tego względu Muzeum zapisało się chlubnie w dziejach Łodzi, dźwignęło to miasto do rangi poważnego centrum kultury w Polsce. Działo się to wszystko za dyrekcji nieżyjącego już dziś dr Mariana Minicha, którego zasługi dla powstania i rozwoju muzeum są niezaprzeczalne.

Znaczenie muzeum przygasło nieco po roku 1949 z wielką stratą dla kultury polskiej. Obecny dyrektor muzeum, p. Ryszard Stanisławski bardzo energicznie zajął się przywróceniem mu dawnej świetności. Dzięki swym talentom organizacyjnym oraz szerokim międzynarodowym kontaktom sprawił, że muzeum zajęło ponownie miejsce wśród najpierwszych galerii światowych.

Tę wysoką pozycję muzeum powinno się wykorzystać w większym niż dotychczas stopniu dla stałego podnoszenia poziomu kultury w Łodzi. Myślę, że jest ono jednym z najważniejszych jej elementów. Dlatego trzeba by jednak w najbliższej przyszłości stworzyć warunki odpowiadające nowoczesnym wymogom i światowemu standardowi ekspozycji zbiorów muzeum oraz w szerszym stopniu rozwinąć jego działalność naukową, wydawniczą i propagandową. Jestem zresztą przekonany, że istnieje powszechne i całkowite zrozumienie tego postulatu i w niedalekiej już może przyszłości dzięki współpracy dyrekcji z władzami miejskimi uda się przystąpić do jego realizacji. Może udałoby się zresztą połączyć to z wielokrotnie przez środowisko plastyczne zgłaszaną koniecznością budowy galerii, której brak pozbawia miasto większości wystaw krajowych i zagranicznych o zasadniczym dla środowiska znaczeniu.

Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych powstała w 14 lat po kolekcji sztuki nowoczesnej, w 1945 roku, w mieście bez żadnych tradycji uniwersyteckich. Jednym z jej pierwszych profesorów i twórców jej programu był również Władysław Strzemiński. Wielki i odważny malarz i teoretyk za swe niekonformistyczne poglądy artystyczne został w 1950 roku usunięty z uczelni. Od tego czasu szkoła została pozbawiona pedagoga i wychowawcy najświetniejszego w swojej historii.

Podstawowym założeniem Strzemińskiego (i jego najbliższego współpracownika, Stefana Wegnera) był związek sztuki z przemysłem i oparcie kształcenia specjalistycznego na ewolucji sztuki w kierunku nowoczesnej formy malarskiej. Idee Strzemińskiego wyrażały wtedy najbardziej postępowe tendencje artystyczne i były przez kilka pierwszych lat rzetelnym fundamentem, na którym opierał się program szkolenia artystycznego i zawodowego. Żyjąc tym dziedzictwem w pewnym stopniu do dziś uczelnia potrafiła wychować nie tylko szereg artystów oddanych sprawie sztuki i kultury polskiej, ale również wykształcić ogromną ilość plastyków-projektantów wzornictwa przemysłowego, przede wszystkim w dziedzinie tkaniny i odzieży. Absolwenci uczelni są główną kadrą projektancką w przemyśle tekstylnym w Polsce, i to jest niezbity dowód prawdziwości i żywotności idei założycieli tej uczelni.

Czasy, które przyszły później, nie przydały, niestety, wiele do świetności uczelni z pierwszych kilku lat walki o nowoczesny program szkolenia artystycznego. Lata późniejsze charakteryzują się raczej kompromisowością, brakiem wewnętrznej żarliwości i dynamizmu, niedostatkiem prężności organizacyjnej. Winę za to ponoszą, być może, częściowo, ówczesne władze ministerialne, które nie prowadziły w stosunku do uczelni zdecydowanej i konsekwentnej polityki; co parę lat otwierano i likwidowano rozmaite specjalizacje i wydziały a nawet swego czasu próbowano szkołę przekształcić w filię Akademii w Warszawie. Trzeba również uderzyć się w pierś, ponieważ część winy spada chyba na nas samych.

W chwili obecnej uczelnia boryka się z poważnymi trudnościami i trzeba by podjąć zbiorowy, poważny wysiłek, aby doprowadzić do uzdrowienia sytuacji. Szkoła nie posiada budynku nadającego się do prowadzenia pracy dydaktycznej i naukowej. Paląca od lat kwestia rozpoczęcia budowy nowego gmachu nie została do dziś rozwiązana pomyślnie. Od kilku już lat każdy rok akademicki rozpoczynamy głośnym i uroczystym zapewnieniem, że nareszcie otworzyły się przed nami perspektywy na rozpoczęcie budowy i zamykamy stwierdzając po cichu i prywatnie, że jesteśmy od tego momentu równie daleko jak przed rokiem, a może jeszcze dalej. Dopóki sprawa nowego budynku szkoły nie zostanie wreszcie doprowadzona do pomyślnego zakończenia, nie może być mowy nie tylko o tym, by uczelnia odegrała właściwą rolę inspiratora życia kulturalnego w naszym środowisku, ale nawet najskromniejszy program kształcenia zawodowego nie będzie mógł być w pełni zrealizowany. Warunki, w jakich uczelnia pracuje, urągają nie tylko estetyce, wygodzie i racjonalnemu działaniu, ale niejednokrotnie są sprzeczne z przepisami o bezpieczeństwie, nie mówiąc już o tym, że działają demoralizująco na młodzież i pedagogów.

Ten katastrofalny stan rzeczy pogłębiliśmy być może sami, przyjmując od lat zbyt duże ilości osób na studia. Doprowadziło to do tego, że w niektórych pracowniach studiuje około 80 osób jednocześnie, podczas gdy w dobrze zorganizowanych uczelniach, liczba studentów w pracowniach jest dużo mniejsza i waha się np. w pracowniach malarskich w granicach 10—20 osób. Jest to ilość, którą jeden pedagog może odpowiedzialnie poprowadzić i każde przekroczenie tej granicy odbija się szkodliwie na procesie dydaktycznym.

Uczelnia nie posiada do tej pory zatwierdzonej struktury organizacyjnej, co, rzecz jasna, nie przyczynia się do stabilizacji szkoły i jest źródłem ustawicznych napięć i niepokojów wewnątrz uczelni. W ostatnich kilku latach szczególnie wyraźnie ten problem wysunął się na czoło zagadnień. Co pewien czas w samej uczelni pojawiają się tendencje do uczynienia z niej czegoś w rodzaju Akademii, zamiast obstawania przy odrębności programowej i specyfice strukturalnej. Tendencje te znajdują wyraz w propozycjach utworzenia Wydziału Malarstwa lub też w takim opracowaniu struktury, która wyraźnie akcentowałaby zamiar oparcia kształcenia głównie o malarstwo. Dotykamy tu punktu bardzo ważnego i drażliwego i trzeba dużo dobrej woli i wzajemnego zrozumienia, aby dojść do właściwego poglądu na te sprawę. Struktura organizacyjna uczelni w naszym wypadku wynika z jej programu artystycznego, naukowego i dydaktycznego. Koncepcja związania kształcenia plastycznego z procesem dochodzenia studenta do nowoczesnej formy malarskiej jest jedną z fundamentalnych tez programowych szkoły od początku jej istnienia. Kształcenie projektantów nie może opierać się o wczorajsze smaki, wczorajsze gusty, wczorajsze koncepcje artystyczne. Nie może też polegać na wyuczeniu, przekazaniu studentom pewnej ilości dobrych rozwiązań, lecz musi zakładać ich samodzielną pracę twórczą — jednym słowem musi opierać się o awangardę artystyczną. Te założenia wysunęły swego czasu uczelnię na czoło instytutów naukowych tego typu w Polsce.

Dwadzieścia trzy lata temu w Polsce postęp w dziedzinie sztuki znajdował swój najpoważniejszy wyraz właśnie w malarstwie i dlatego konieczne było powiązanie procesu kształcenia projektantów z kształceniem ich jako malarzy. Dziś jednak w dobie rozpłynięcia się granic sztuki i granic samego malarstwa, w dobie telewizji, plakatu, reklamy świetlnej i powszechnego uprawiania fotografii i filmu przez wszystkich z młodzieżą i dziećmi włącznie, upieranie się przy tym postulacie jest anachronizmem. Powszechna świadomość plastyczna, praca wyobraźni jest dziś zupełnie inna niż ćwierć wieku temu. Obstawanie przy uczeniu zasad projektowania przemysłowego wyłącznie na rozwoju świadomości malarskiej w ścisłym tego słowa znaczeniu, jest obskurantyzmem. Jeżeli chcemy znów stać się postępową uczelnią musimy zradykalizować nasz program i dostosować metody dydaktyczne do nowych zmienionych warunków na świecie.

Nasza młodzież też jest inna niż my byliśmy w jej wieku. Dla niej musimy zrezygnować z naszych wygodnych, ale przestarzałych już metod wychowywania i kształcenia plastycznego. Jesteśmy chyba jednak, niestety, wciąż bliżsi Janowi Matejce niż nowoczesnym metodom kształtowania wyobraźni młodzieży przyszłości.

Z tego co powiedziałem, wynika, moim zdaniem, postulat wprowadzenia do programu uczelni fotografiki, telewizji, filmu i grafiki jako podstawowych technik kształcenia wyobraźni, wiedzy i umiejętności już od I roku studiów. Prawdopodobnie konieczne byłoby również wprowadzenie jednego z tych przedmiotów jako specjalizacji zawodowej np. może w postaci grafiki telewizyjnej. Gwałtowny rozwój techniki informacji i brak choćby jednego ośrodka kształcącego specjalistów w tej dziedzinie, uzasadnia, według moich przekonań, tę decyzję.

Na to, by uczelnia mogła odegrać poważną rolę w życiu kulturalnym naszego środowiska, trzeba oprócz tego, aby stała się ona twórczą placówką naukowo-badawczą. Wejść do niej powinni ci wszyscy, którzy mogą przez swe znaczenie i osiągnięcia naukowe i artystyczne przyczynić się do jej wzmocnienia. Uczelnia musi znaleźć w sobie dość siły, by prezentować stale program artystyczny i politykę kulturalną o odpowiednio szerokim oddziaływaniu. Trzeba by również stworzyć stałe możliwości wymiany i awansu młodych pracowników naukowych o najwyższych kwalifikacjach moralnych, artystycznych, pedagogicznych i politycznych. Wiąże się to wszystko z oceną możliwości samego środowiska, które dla swego rozwoju potrzebuje być może ściślejszej współpracy z wybitnymi artystami i fachowcami spoza naszego grona.

STANISŁAW FIJAŁKOWSKI

Półka z książkami

DLA ZAINTERESOWANYCH

Czytelnikom, interesującym się literaturą niemiecką, chciałbym polecić publikację Norberta Honszy pt. „W kręgu literatury niemieckiej". Jak sam autor zaznacza w podtytule, są to szkice z literatury niemieckiej XX wieku. Rdzeń książki Honszy stanowi duży esej pt. „Wokół Tomasza Manna", uwzględniający również zagadnienie recepcji tego pisarza w Polsce oraz spory i opinie na temat jego zachowania się po przewrocie hitlerowskim. Mamy wprawdzie w języku polskim obszerną monografię o Tomaszu Mannie, pióra Aleksandra Rogalskiego, ale szkic Honszy, ujmujący problem ze stanowiska społeczno-politycznego, wprowadza pewne wyjaśnienia i stawia kropkę nad i. Inny szkic, poświęcony Gerhartowi Hauptmannowi, dotyczy pisarza, który w przeciwieństwie do Tomasza Manna nie wyemigrował z Niemiec, lecz pozostał w kraju i poczynił pewne nieznaczne koncesje na rzecz hitleryzmu. Norbert Honsza stara się rozważyć wszystkie te sprawy spokojnie, przytaczając świadectwa za i przeciw postawie pisarza. Rozdziały pierwszy i drugi zajmują się kierunkami rozwojowymi literatury niemieckiej w okresie międzywojennym oraz tendencjami w młodej prozie NRD. Dla naszego czytelnika szczególnie instruktywny może być szkic drugi, gdyż wiedza nasza o literaturze NRD i to tej najmłodszej jest prawie żadna.

Uważając tę publikację za pożyteczną, nie mogę jednak nie wytknąć jej autorowi luk w literaturze przedmiotu. Norbert Honsza przytacza nawet drobne, okolicznościowe teksty o Tomaszu Mannie, natomiast pomija (bo nie sądzę, aby ich nie znał) istotne wypowiedzi, dotyczące Gerharta Hauptmanna. Sądzę również, że pewne informacje w szkicu o Hauptmannie pochodzą z drugiej ręki, a nie są „odbadane" przez samego autora publikacji.

J.K.

Norbert Honsza: „W kręgu literatury niemieckiej". Wyd. „Śląsk", Katowice, 1968 r., str. 236.

PAMIĄTKI I HEREZJE

Uważny czytelnik „Życia Literackiego" zna już książkę Stefana Otwinowskiego, bo jest to po prostu zbiór felietonów drukowanych w tym periodyku w latach 1964/65/66. Lektura „Pamiątek i herezji" wzbudza mieszane uczucia. Bo znajdujemy tu przede wszystkim relacje z kulturalnego życia trochę odległych już lat. Bo relacje te dotyczą kulturalnego życia Krakowa i są przede wszystkim ucztą dla ducha krakowskiego. Bo, wreszcie, ogarnia nas żal pomieszany z lekką irytacją. Prawda, że Kraków ma te tradycje, których Łodzi brak, ale nie ma powodów, dla których nasze miasto nie mogłoby znaleźć felietonisty, umiejącego tak mocno, jak Otwinowski, reklamować to, co w rodzinnym życiu kulturalnym reklamować warto. Mógłby taki felieton również dopingować, jeśliby zaszła konieczność. Wróćmy jednak do Otwinowskiego i jego felietonów. Pierwsza część pisana jest w formie listów do Wilhelma Macha, druga — to Notes Krakowski. Czytelnika uderza dociekliwość Otwinowskiego w jego poszukiwaniach co ciekawszych wydarzeń.

„Krakowianie mają bardzo czuły, ładny sposób pisania o swoim mieście, o jego zakątkach, zaułkach, peryferiach". To cytat właśnie z Otwinowskiego. I wydaje się, że ta cecha zbioru jego felietonów sprawia, że czyta się je z prawdziwą przyjemnością. Z taką samą oceniamy staranne wydanie książki. Duża w tym zasługa autora szaty graficznej — znanego m. in. z „Przekroju" Daniela Mroza.

B. M.

Stefan Otwinowski — „Pamiątki i herezje", Wyd. Lit., 1968, str. 225.

PRASA DOBY REWOLUCJI

Tytuł co prawda dość nieefektowny — „Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji 1915—1919" — ale za tym tasiemcowym tytułem kryją się sprawy pasjonujące, problemy dotychczas niebadane... A jeśli nawet, to dopiero autor tej książki Andrzej Ślisz uczynił to w sposób kompletny i całościowy.

Sam indeks nazwisk mieści się na 14 stronach drobnego druku, indeks czasopism na kolejnych 12 stronach. Przypisy zajmują nieraz po trzy czwarte strony a są to przypisy zarówno biograficzne i bibliograficzne jak i przyczynkarskie in formacje, fragmenty pamiętników — także pamiętników dotychczas nieopublikowanych.

Całość natomiast — główny trzon tej książki z historii polskiej prasy, stanowi na pewno niecodzienne źródło nie tylko dla badacza prasy ale i dla historyka interesującego się dziejami stosunków polsko-rosyjskich i polsko-radzieckich. Jest to więc praca naukowa, blisko 600-stronicowe dzieło o wartości niepowtarzalnej.

Jest to także po prostu ciekawy fragment dziejów, który zainteresować może nie tylko prasoznawcę i historyka, ale każdego kogo ciekawi świat, w którym żyjemy. O wartości naukowej książki Andrzeja Slisza wypowiedzą się na pewno specjaliści. W tym miejscu jednak sygnalizujemy po prostu ciekawie napisaną opowieść o polskich gazetach ukazujących się na wschód od Bugu. Opowieść ta — rzecz nieczęsta w wypadku prac naukowych — napisana jest w sposób tak zajmujący, że chwilami zapominamy, że to przecież dzieło naukowe. Myślę, że dla pisarstwa i badań Andrzeja Slisza może to stwierdzenie być komplementem.

J.W.

Andrzej Ślisz „Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji 1915—1918". Książka i Wiedza, 1968 r., cena 55 zł.

Bez strachu

KSIĘGA PRZYJACIÓŁ

Miałem i mam wielu i tak ciekawych przyjaciół, że postanowiłem napisać o nich księgę. Przystąpiłem już do pisania i oto garść pierwszych kłopotów autorskich. Próbowałem zgromadzić w świadomości moich przyjaciół i odnaleźć w nich pewne cechy wspólne dla tego tłumu ludzi — cechy umożliwiające zbudowanie określenia. Otóż przyjaciel to taki człowiek, który mnie lubi z wzajemnością oraz taki, na którym mogę polegać... Ustaliłem zatem już trzy cechy obowiązujące dla mojego przyjaciela: a) lubi mnie, b) jest nawzajem lubiany, c) jest spolegliwy (w stosunku do mnie). Kiedy począłem tę masę przykładać do tłumu cisnącego się na karty księgi — dostrzegłem, że tłum rozbiega się tak raptownie, że gdyby nie był tylko tłumem przypomnianym, uprzytomnionym stratowałby mnie w tym rozbiegu. W jedną stronę uciekali ci, którzy lubiąc mnie nie byli przeze mnie lubiani, w drugą, ci, których ja lubiłem nie będąc przez nich lubiany, w trzecią, ci, na których mogłem polegać, a którzy mnie nie lubili, w czwartą wreszcie ci, na których mogłem polegać, a których ja nie lubiłem. Czy zatem nie miałem przyjaciół? Może ich miałem lecz zbudowałem wadliwe rzeczowo lub formalnie określenie przyjaciela i dlatego ten nietrwały tłum i dynamiczny rozbieg. Oto na przykład umknął mi jedna ze stron więzień — sanitariusz z obozu koncentracyjnego, który mi dawał co drugi dzień pół miski zupy z serwisu — dodam że tę bezcenną zupę wynosił dla mnie narażając się na okrutne kary w razie pochwycenia go przez kapo rewiru. Otóż spotkałem tego sanitariusza w pierwszych dniach wolności. Usiłował naprawić aparat fotograficzny. „Ach, to ty — czego chcesz — zupa?! Ja mam teraz mało czasu. Nie sądzisz chyba, że będę go tracił na gadaniu o obozowej zupie — no, żegnaj, jestem bardzo zajęty". Człowiek ten, na którym mogłem w trudnych chwilach polegać, nie żywił do mnie sympatii a jego ofiarna pomoc wynikała z pobudek innych niż uczuciowe — być może kierowały nim względy światopoglądowe, polityczne motywy płynące z rozumowej etyki czy ze wskazań religii — trudno to ustalić. Oto umknął w inną stronę życzliwy mi poeta — jego sympatia do mnie, chęć rozmów ze mną, częstych kontaktów osobistych były wyraźne — otóż poeta ten będąc redaktorem nie drukował moich wierszy nawet kiedy w prywatnej rozmowie uznawał je za godne druku, ba, odmówił mi pożyczenia książki, której nigdzie nie mogłem zdobyć. Cóż więc mam począć z Księgą Przyjaciół — pisać czy nie pisać? Jak zawsze życzliwi wydawcy czekają, a ja będę się nad nową definicją, aby ustalić liczbę przyjaciół i coraz większy mam kłopot z ich inwentaryzacją. A może nie należy definiować ujmować pojęciami Przyjaźni, może należy oprzeć się tu na intuicji Przyjaźni i według intuicyjnej wizji kreślić sylwetki Przyjaciół — ale w takim razie czy rezygnując z definicji Przyjaźni, nie należy przypadkiem pokusić się o definicję tej intuicji?!

BERNARD SZTAJNERT

ŁÓDZKI Teatr PROPOZYCJI

Aczkolwiek teatr propozycji jest zjawiskiem w Łodzi zupełnie nowym, to jednak jego powstanie ma swoją historię. Parę lat temu w środowisku ludzi teatru mówiło się o potrzebie nowej formy przekazu dzieła scenicznego, jakim jest np. teatr propozycji i rozważano możliwość stworzenia odpowiednich po temu warunków. Miejscem miała być salka Teatru Ziemi Łódzkiej, gdyż zarówno kameralność jak i nie wykorzystanie jej przez pięć dni w tygodniu mogły stworzyć właściwą bazę do działania. Była już gotowa grupka zapaleńców: aktorów, pisarzy, kierownik literacki, recenzent, były określone — chociaż nie w pełni sprecyzowane — założenia programowe, przeprowadzono wstępne rozmowy z kierownictwem wymienionego teatru i były kłopoty nie do pokonania, bo administracyjne. Tym sposobem pomysł pozostał w sferze pomysłów.

Mówię o tym dlatego, że sama myśl i intencje wydawały mi się interesujące z wielu względów. Scena propozycji, poprzez szukanie nietypowych, nowych form wyrazu, stwarza możliwość wszechstronniejszego wyżycia się artystycznego zarówno aktorom, reżyserom, jak i scenografom. Według owej pierwotnej koncepcji na scenie tej mieli się znaleźć przede wszystkim łódzcy dramaturdzy — debiutanci.

Każdego roku ukazuje się przynajmniej kilka dobrych pozycji dramaturgicznych, a niekiedy i wybitnych, które z różnych względów nie są wystawiane w teatrach nie — propozycji, a zasługują na opracowanie sceniczne i przekazanie szerszemu, niż grono kierowników literackich i reżyserów, ogółowi.

Zamiast jednak teatru propozycji, czy jak kto woli prowokacji, przez krótki okres p. Roman Sykała — dyr. Teatru Powszechnego, wystawiał na scenie Teatru Ziemi Łódzkiej dwa razy w tygodniu sztuki nie grane jeszcze w Łodzi, a modne w innych ośrodkach teatralnych w Polsce i poza jej granicami. Widzowie mieli możność zobaczyć wreszcie sztuki Mrożka i Pintery. Żywot drugiej sceny Teatru Powszechnego był jednakże krótki. Potem przez kilka następnych sezonów nie było już w Łodzi nic z prowokacji i nic z propozycji.

Ale Pan wie, jak bywa z owym posianym ziarnem... Wzeszło, tylko że na innym nieco gruncie. W bieżącym sezonie teatralnym przy Zarządzie Okręgu SPATiF, Zarządzie Oddziału ZLP oraz Zarządzie Okręgu Zw. Zaw. Prac. Kultury i Sztuki pod protektoratem Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi powstał teatr propozycji. Osobiście uważam, że nazwa ta jest zbyt obszerna i... asekuracyjna, ale na początek mniejsza o nazwę. Jest Teatr Propozycji Polskiej Sztuki Współczesnej w foyer Sztuki Współczesnej Nowego. Premiera w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca.

Chyba to jedyny w Łodzi teatr, w którym brakuje miejsc na widowni, a suflera za parawanem. Za to jest reżyser, Bogdan Mikuć, aktor Teatru Nowego, jest prowadzący dyskusję, Roman Łoboda, prozaik i poeta, jest zaimprowizowana scena, bez podestów, dekoracji, jupiterów, jest też autor prezentowanej sztuki. Kto jeszcze znajduje się na sceno-widowni przekonujemy się po spektaklu, w czasie dyskusji, w której widzowie wypowiadając się przedstawiają się obecnym. Wiem, że były już premiery z udziałem autorów. Były dyskusje pomiędzy widzami, a autorami, były również dyskusje prowadzone przez pisarza: ale żeby tak dyskutowano jednocześnie ze wszystkimi i dawano autorom sztuk rady, jak winni pisać dobre dramaty, i wskazywano możliwości adaptacji filmowej... tego jeszcze w naszym mieście nie było!

Inauguracyjną premierą Teatru Propozycji była sztuka Henryka Czarneckiego „Pan w ciemnych okularach", drugą — Wojciecha Jerzego Wójcika „Ja zostaję", trzecią i ostatnią przedurlopową — Zofii Lorentz „Pierwsza runda". Wszystkie pisarzy łódzkich. Każda ze sztuk, aczkolwiek odrębna tematycznie porusza współczesne zagadnienie moralno-obyczajowe. W „Panu w ciemnych okularach" Henryka Czarneckiego, w inscenizacji Bogdana Mikucia, mamy do czynienia ze swoistym dramatem człowieka, którego naczelnym zadaniem życiowym jest stałe poszukiwanie nowych kobiet i obdarzanie ich miłością. Z tego tworzywa może teatr zrobić tragedię człowieka głęboko samotnego, poszukującego ideału kobiety, może bez trudu wystawić także w konwencji ckliwego melodramatu, a co dowcipniejszy reżyser mógłby doszukać się materiału na satyryczną komedię z końcowa pointa „po co ci to było, skoro i tak do pierwszej wróciłeś". Reżyser Teatru Propozycji potraktował bohatera serio, z powagą, jak przystało na inaugurację nowej sceny, ale co uroczystsze tony łamały się przez zbyt banalną formę literacką.

Najmłodszy z premierowych autorów, bo mający zaledwie 24 lata, Wojciech Jerzy Wójcik sztuką „Ja zostaję" przedstawił się jako utalentowany pisarz — dramaturg. Wcześniej niewątpliwie walory sztuki oceniło jury Konkursu Debiutów, organizowanego przez Warszawski Teatr Ateneum, przyznając jej wyróżnienie, zaś teatr dramatyczny w Szczecinie umieścił ją w planie repertuarowym sezonu 67/68 i wystawił w czerwcu br. Gdyby nie te fakty można było posądzić autora o napisanie sztuki po ostatnich wypadkach marcowych, jako podanie przyczyny po fakcie. Wójcik bowiem pokazał środowisko bananowej młodzieży, jej styl i warunki życia, tworząc szereg pozornie jednolitych typów w dramacie, ale przez drobne realia, nie cyzelowane wcale rysy, zręcznie zróżnicował i nadał im odrębny i indywidualny wyraz. Jego młodzi bohaterowie są nam dobrze znani — to dranie z klasą, zimni i eleganccy konsumenci mocnego życia, życia najczęściej na rachunek stanowiska ojczulka. Ale Wójcik jest też częścią młodzieży, więc ją broni i chociaż jego bananowcy wydają się zupełnie zdeprawowani, jeden spośród nich zwycięża siebie i zostaje. Zostanie jest bolesne, bo oznacza rozstanie z ukochaną.

Znana łódzka pisarka, Zofia Lorentz, zaprezentowała na scenie propozycji adaptację swej prozy i nazwała ją „Pierwsza runda". Jak już wspomniałam sztuka jest także z kręgu zagadnień obyczajowych, poszerzona o konflikt pokoleń, o sprawę poświęcenia rodziców dla dzieci i o niewdzięczność tych ostatnich. Ale sztuce brak jednolitej koncepcji w zakresie tematu i problemu, za to dużo w niej zbędnych wątków i wtrąconych epizodów, cennych w twórczości powieściowej, a tu wprowadzonych bez uzasadnienia dramaturgicznego. Adaptacja nie wyzwoliła się spod ciężaru prozy, co szczególnie mocno zaważyło na dialogu.

Po każdej ze sztuk uczestnicy długo i żywo dyskutowali usiłując wykazać, jaką wspaniałą sztuką, jest „Pierwsza runda" i jakim dobrym dramaturgiem będzie pan Wójcik, jeśli zacznie pisać w myśl wskazówek dziennikarzy. Ujawniły również wielu potencjalnych krytyków teatralnych... Cenniejsze jest jednakże to, że wszyscy zabierający głos wypowiadali się z dużym uznaniem dla inicjatywy stworzenia tego typu teatru, a kierownik Wydziału Oświaty, Nauki i Kultury Kom. Łódzkiego PZPR — Zofia Włodarczykowa stwierdziła, że scena propozycji jest bezwzględnie potrzebna takiemu ośrodkowi teatralnemu jak Łódź i że z pewnością spełni ważne społecznie i artystycznie zadanie.

Dziwi natomiast fakt, że wśród uczestników wieczorów improwizowanych spektakli brakowało kierowników literackich teatrów i kierowników artystycznych, zaś aktorów reprezentowała jedynie nieliczna grupa.

MARIA KAŁUŻYŃSKA

TP OBIEKTYW

PRZEPRASZAMY ZA USTERKI

Niestety, ale właśnie sprawa technicznego poziomu transmisji stała się w ostatnich tygodniach problemem numer jeden łódzkiej telewizji. Dlatego i Tele-obiektyw, choć stroni na ogół od zagadnień technicznych, czuje się w obowiązku włączyć do dyskusji nad tą sprawą.

Najdrastyczniejsze były ostatnio dwie awarie nadajnika w Zygrach. Pierwsza — 24 sierpnia — uniemożliwiła łodzianom obejrzenie w sobotni wieczór filmu z serii „Alfred Hitchcock przedstawia" i oka leczyła transmisję drugiej części koncertu festiwalowego z Sopotu. Druga — 4 września — przypadła znów na sam początek filmu z lubianej przez publiczność serii Hitchcocka. Zdawałoby się, że to nadajnik w Zygrach jest dla Hitchcocka niełaskawy.

Ale żarty na bok! W prasie ukazały się już wyjaśnienia Państwowego Przedsiębiorstwa „Stacje Radiowe i Telewizyjne", że awarie są stałym niebezpieczeństwem do czasu uruchomienia rezerwowego nadajnika, co zaplanowane było na koniec przyszłego roku. Awarie aparatury elektronicznej są nie do uniknięcia, ale przy odpowiedniej rezerwie urządzeń będą mogły być ograniczone do sekund. W tej chwili przerywają praktycznie rzecz biorąc transmisję programu.

Perspektywa oczekiwania z górą rok na uleczenie sytuacji nie uśmiecha się chyba nikomu z łódzkich telewidzów. Dlatego nadzieje łączymy z pracującą obecnie komisją, która w ciągu niewielu dni przedstawić ma rzeczową i pełną ocenę pracy nadajnika w Zygrach i wystąpić z jakimiś konstruktywnymi wnioskami.

Szkoda wprawdzie, że dopiero dotkliwe awarie i rozżalenie publiczności zaktywizowało centralne władze przedsiębiorstwa „Stacje Radiowe i Telewizyjne" do zajęcia się tą sprawą. Przecież rzecz była właściwie do przewidzenia. Nie ma aparatury nadawczej bezawaryjnej — nie ma możliwości szybkiego usunięcia przerwy w transmisji bez urządzeń zastępczych.

Wydaje się, że na władze przedsiębiorstwa i na jego instancję zwierzchnią czyli Ministerstwo Łączności należy wywrzeć nacisk, by termin dostarczenia Zygrom zapasowego nadajnika uległ rewizji i znacznemu przyspieszeniu. Bez tego skazani będziemy w Łodzi na wiele niemiłych niespodzianek. Myślę o Olimpiadzie w Meksyku i już zawczasu ciarki mnie przechodzą...

Ale sprawa się na tym nie kończy. Pod adresem komisji badającej Zygry skreślić należy jeszcze parę uwag. Nie chodzi tylko o wielkie awarie. Większość telewidzów łódzkich twierdzi z całą stanowczością, że od czasu uruchomienia nadajnika w Zygrach jakość odbioru obrazu telewizyjnego znacznie się w naszym mieście obniżyła. Plansza „Przepraszamy za usterki" zadomowiła się na naszych ekranach na dobre. A nawet gdy jej nie ma, obraz pozostawia często bardzo wiele do życzenia. Niewiele pomaga zmiana antenn na wielokłonowe.

Cieszy nas fakt, że dzięki Zygrom duże połacie naszego województwa i graniczne powiaty innych województw doczekały się programu telewizyjnego. Dobrze również, iż w innych powiatach, które odbierały dotąd program na złym poziomie technicznym, sytuacja się poprawiła. Ale czy musiało to nastąpić na zasadzie „zbyt krótkiej kołdry", to jest czy musiało to się odbyć kosztem telewidzów w naszym mieście? A może decyzje centralne były zbyt szybkie? Może należało czasowo przynajmniej pozostawić dla Łodzi nadajnik w wieżowcu przy ul. Sienkiewicza

Nie umiem sobie na te pytania sam odpowiedzieć. Podejrzewam jednak, że władze przedsiębiorstwa „Stacje Radiowe i Telewizyjne" nie zdecydowałyby się na rozszerzenie zasięgu warszawskiego nadajnika kosztem jakości odbioru programu w stołecznym mieście. Minister Moskwa zmyłby im głowę, dotknięty bezpośrednio jako telewidz.

Nie bawmy się jednak w złośliwości! Czas pomyśleć o środkach zaradczych. 750-tysięczne miasto, największe w kraju skupisko klasy robotniczej, ma prawo domagać się, by jego interesy rozpatrywane były z troską i uwagą.

Chciałbym na zakończenie poświęcić parę słów pracownikom PP „Stacje Radiowe i Telewizyjne" w Łodzi. Na ich głowy sypią się bowiem na ogół gromy rozżalonej publiczności. Wyobrażam sobie jak dramatyczne chwile przeżywają oni podczas awarii nadajnika. Ich walkę można zresztą zaobserwować na ekranie, gdy rozpaczliwie usiłują utrzymać rwący się obraz.

W stacji nadawczej w Zygrach pracuje ofiarna i wysokokwalifikowana kadra inżynierów i techników, która robi wszystko, by złagodzić skutki nie przemyślanych może do końca decyzji centralnych władz przedsiębiorstwa. Miejmy nadzieję, że kroki, jakie przedsiębiorstwo teraz podejmie, ułatwią pracę tych ludzi i w większym stopniu zadowolą setki tysięcy telewidzów łódzkich.

Władysław Gnoiński

P.S. Ja również muszę przeprosić za usterkę. Do felietonu z ubiegłego tygodnia wkradł się błąd. Na skutek mojego przeoczenia zniekształceniu uległo nazwisko jednego z autorów filmu serynego NRD „Piloci w piżamach". Brzmi ono: Heynowsky. Przepraszam!

ROMAN ŁOBODA

Dwie komedie

Brak polskich sztuk współczesnych szczególnie daje się odczuć w dziedzinie komedii. Paradoksalne jest to tym bardziej, że jesteśmy przecie narodem obdarzonym poczuciem humoru nie najpośledniejszego gatunku.

Przy dużym zapotrzebowaniu na ten gatunek brak nam zarówno materiału zaspokajającego popyt, jak i komedii, które byłyby charakterystyczne dla współczesnego humoru polskiego.

Można dziś mówić o współczesnym humorze angielskim, włoskim, francuskim, a nawet czeskim, podczas, gdy polski humor od dziesiątek lat reprezentuje na scenach nieśmiertelny Aleksander Fredro. To, co się widuje poza autorem „Zemsty" jest zbyt znikome, błahe, czy też niejednorodne w konwencji komediowej, by mogło określić typowość współczesnego humoru i stanowić o stylu polskiej komedii.

Tu jesteśmy zapóźnieni nie tylko — jak w dramaturgii w ogóle — wobec tradycji i współczesnych doświadczeń, lecz również zapoznani w jednej z istotniejszych cech narodowych.

Te, dość smętne refleksje wywołała konfrontacja dwóch współczesnych komedii. Polskiej „Bliźniak", Zdzisława Gozdawy i Wacława Stępnia oraz włoskiej „Kawior i kaszanka". Autorzy: Giulio Scarnicci i Renzo Tarabusi podobnie jak Stępień i Gozdawa, nie są młodzikami. Pierwszy ma lat 53, drugi 60. Jeżeli jednak „Bliźniak" nie wiele ma wspólnego ze współczesnymi realiami komediowymi, to „Kawior i kaszanka" jest z nich w całości skomponowana.

Nie chodzi oczywiście o jakiś problem współczesności, w obu sztukach nie ma on większego znaczenia.

„Bliźniak", to właściwie dziewiętnastowieczne libretto operetkowe, w którym funkcję uwspółcześniania spełniają skeczowe dialogi, dość niekiedy trafne sformułowania satyryczno - filozoficzno - obyczajowe oraz powiedzonka korespondujące z duchem dzisiejszej „ferajny" artystycznej. Za mało tego jednak nawet jak na komediofarsę. Fabuła neutralizuje wszelkie zabiegi uwspółcześnienia. Intryga sfer arystokratycznych jest oparta na schemacie nieporozumień wynikających z podobieństwa bliźniaków, z których jeden stał się artystą malarzem i z wysokości swego powołania gardzi zgnilizną wyższych sfer, a drugi nie, bowiem jest niedołężnym matołkiem.

Okaże się w końcu, że ojcem obu jest wierny i oddany rodzinie majordomus.

Jak widać wszystko mogło być niezwykle śmieszne, albo pięćdziesiąt lat temu, albo, gdyby naprawdę było parodią tego typu komedii.

Tempo akcji zwalniają „przystawki" słowne, same w sobie, jak się już rzekło najlepsze. Paradoks w tym, że nie służą one rozwijaniu akcji, a jej „okraszaniu".

Artyści Teatru 7.15 robią co mogą.

Młody, zdolny aktor **Krzysztof Różycki** spala jako Hiacynt Zabek — malarz użytkowy chyba o pięćdziesiąt procent energii za dużo na tym ołtarzu wątpliwej sztuki.

Ratuje ją również z mniejszym zapałem, ale z większym doświadczeniem **Karol Obidniak**, jako Sebastian Smutny — mędrzec niedoceniony.

Maria Wilhelm jest nieco zdezorientowana w wyborze konwencji: tuła się między wodewilowym rozbrykaniem Różyckiego, a sceptycznym humorem Obidniaka. W tej atmosferze farsowej cyganerii sceny liryczne wydają się nie tyle przepojone poprzedzającym je humorem, co niezręczne. Nie ma w tym winy artystów. Takie są determinanty tekstu.

Nina Król jako Azalia Nieporębska — księżniczka autentyczna i **Zbigniew Jabłoński** w roli Tytusa — majordomusa przywiązanego, mają ściśle określony gatunek komediowy. Nie sądzę jednak, żeby ograny stereotyp tego typu ról dawał aktorowi dużą „frajdę" sceniczną.

Reżyseria: Feliks Żukowski, scenografia: Ewa Sobołtowa.

* * *

Inaczej ma się sprawa, jak już się rzekło, z „Kawiorem i kaszanką".

Inaczej, gdyż po prostu jest to współczesny utwór komediowy, napisany nie tylko z myślą, ale i z widzeniem sceny.

Jeżeli przyjmiemy, że zabawa powinna również uczyć, a nauka to nie tylko zapamiętywanie obyczajów, reakcji, zachowań, lecz przede wszystkim ich poznawanie — wówczas można przyjąć, że „Kawior i kaszanka", nie posiadając jak i „Bliźniak", poważniejszych walorów myślowych, ma wartości poznawcze. W przeciwieństwie bowiem do „Bliźniaka" nie potwarza tego, co wszyscy już na pamięć znają, lecz pokazuje obyczaje nieomal w stanie ich powstawania.

Już to samo wystarczy, że by bez szczególnych zabiegów formalnych uzyskać efekt współczesności, dotrzeć do niej w sposób najprostszy.

Fabuła pokazana, a nie opowiedziana zakłada żywość akcji, co zmienność sytuacji znakomicie podkreśla.

Niewątpliwie można to wszystko nazwać scenicznością sztuki, jeżeli założymy, że stopień zaabsorbowania widowni jest tego wykładnikiem. Oczywiście są sztuki, których walor intelektualny, pomimo bezbłędnych rozwiązań scenicznych, nie służy zaabsorbowaniu w sensie emocjonalnym, co jest pierwszym warunkiem, ale też i przedszkolem teatralnej percepcji. Niemniej jednak, czy mimo to, pobudzenie emocji, poruszenie uczuć jest solą i chlebem sceny.

Tak więc śmiech w połączeniu z niespodzianką, z napięciem prawdą psychologiczną i obyczajową, klarownością sytuacji i wyrazistością postaci — oto walory „Kawioru i kaszanki".

Piszę to z żalem. Nigdy nie uwodziła mnie sztuka, tylko dlatego, że jej twórcy żyją (czy nie żyją) za górami, za lasami — czemu wyraz dawałem dość często. Nie nawołuję również do naśladownictwa obcych wzorów. Wręcz odwrotnie. Wierzę, że stać nas na dramaturgię, a w tym i komedię oryginalną, opartą na pierwiastkach narodowych i postępowych w najlepszym tych słów znaczeniu.

„Bliźniaka" trudno „wyciągnać na szczyty" sceniczne, „Kawior i kaszankę" trudno „położyć". Niemniej jednak znakomita obsada uwypukliła walory sztuki, a może nawet je wyogromniła.

I znów **Jerzy Przybylski** odnalazł pełny rezonans w roli Leonidasa Lamanna. Nie chcę przez to powiedzieć, że to coś, co najbardziej Przybylskiemu odpowiada — to komedia. W „Nocy spowiedzi" nie było wiele do śmiechu. W „Kaliguli" i wielu innych jego kreacjach również. Natomiast to coś można określić jako możliwość (w sztuce) operowania światłocieniem, wydobywania złożoności wewnętrznej bohatera, chociażby to tylko pobudzało do śmiechu. Przybylski ma to poczucie — powiedzmy w uproszczeniu — paradoksu natury ludzkiej.

Halina Pawłowicz ma natomiast doskonałe wyczucie biologicznego, że tak powiem, reagowania człowieka na bodźce zewnętrzne. Jest prawdziwa i spontaniczna. Przystaje to bardzo do postaci Valerii, kochanki Leonidasa.

Jadwiga Andrzejewska może mniej miała możliwości niż w „Babie dziwo", do wykazania się, ale znów potwierdziła swoją klasę.

W ogóle teza, że dobry aktor powinien się sprawdzać we wszystkich gatunkach scenicznych znalazła potwierdzenie w „Kaszance". Nieomal wszyscy artyści wydawali się swobodni, czyli grali swobodnie. Bo jak się czuli, tego nie dociekałem. Warto by może ich o to zapytać.

Leon Niemczyk również wodził prym jako przezabawny Antonio, a przecież nie ma do tego typu roli przyrodzonych warunków.

Podobała się również **Janina Borońska-Łagwa** w roli córki Leonidasa i Valerii; **Michał Szewczyk** ich syn, **Lucjan Wiernek, Irena Malkiewicz, Tadeusz Sabara, Janusz Kubicki, Aleksander Fogiel, Krystyna Froelich, Ewa Krzyńska, Brunon Bukowski, Jerzy Szpunar, Janusz Mazanek** — chyba wszyscy mogli się podobać, gdyż całość temu sprzyjała.

Reżyseria: **Roman Sykała** — organizator całości. Scenografia: **Elżbieta Iwona Dietrych. Teatr Powszechny.**

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

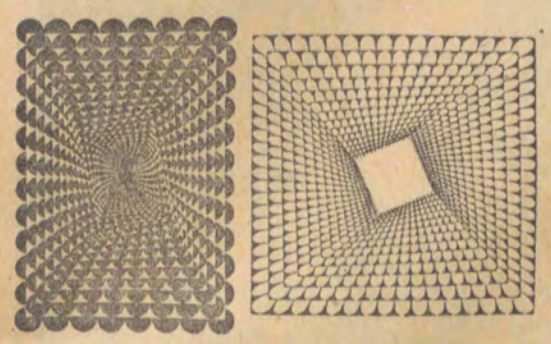

Obrazy w stylu op-artu.

SZTUKA I MÓZGI ELEKTRONOWE

■ Niemal w tym samym czasie Londyn miał trzy interesujące wystawy sztuki: twórczości Moore'a, Matisse'a oraz ekspozycję urządzoną przez instytucję niezbyt chyba słusznie nazywającą siebie Instytutem Sztuki Współczesnej. Jeśli dzieła wystawiane na tych dwóch pierwszych ekspozycjach były dziełami artystów, to trzecia wystawa pokazywała wytwory maszyn. Twórcami eksponatów na wystawie Instytutu Sztuki Współczesnej są mózgi elektronowe.

Portret Kennedy'ego wykonany przez mózg elektronowy

Na pewno jest przesadą, że mózgi elektronowe, jak twierdzą nadmierni entuzjaści tzw. sztucznej, (lub może lepiej powiedzieć – mechanicznej sztuki), potrafią rysować jak Leonardo da Vinci, komponować jak Pergolesi, malować jak Mondrian i projektować sceny czy cricki filmowe. Niemniej londyńska wystawa mechanicznej sztuki była ciekawa. Wystarczyło przy niektórych maszynach klasnąć w dłonie lub wydać artykułowany lub nieartykułowany dźwięk, by mózgi elektronowe zareagowały natychmiast, ukazując na swym ekranie migotliwe, barwne plamy.

Mózgi elektronowe na razie potrafią układać, dziwaczne zresztą, teksty pozdrowień z okazji świąt itp., pisać w napuszonym stylu miłosne listy (np. „Moja namiętność łaknie twego serca"), mogą mówić, śpiewać oraz poruszać się jak pokazany na wystawie robot zdalnie kierowany, a zastosowany jako rekwizyt w jednej ze sztuk teatralnych. Mózgi elektronowe tworzą wiersze przypominające do złudzenia twórczość dadaistów, jeden z mózgów rysuje czworoboki, koła, układy linii prostych i krzywizn, co w całości niespodziewanie przypomina styl malarstwa Paula Klee; japońska maszyna na podstawie fotografii Kennedy'ego zestawia odśrodkowy układ kresek ukazując obraz, na którym wyraźnie widać podobiznę zamordowanego prezydenta. Jeszcze inne mózgi elektronowe rysują układy linii i wieloboków w taki sposób, że przypominają one żywo styl op-artu.

Cokolwiek sądzilibyśmy o tej mechanicznej sztuce jedno na razie zdaje się być pewne, że mózgi elektronowe mogą oddać cenne usługi przy projektowaniu rysunków zarówno artystycznych jak innych, np. przemysłowych.

JEDNA Z OSTATNICH HARFIAREK

■ Niewiele jest na świecie ludzi grających dziś na harfie. Najstarszą, bo liczącą 75 lat i prawdopodobnie najwybitniejszą jest madame Lily Laskine. Nazywają ją „królową harfy". W swym małym mieszkanku w Saint-Séverin ma bogatą kolekcję najrozmaitszych harf, niektóre o wartości muzealnej.

Od dzieciństwa grá na harfie. Gdy była dwunastoletnią dziewczynką otrzymała pierwszy raz w życiu nagrodę. W rok później, jak wspomina, dawała już lekcje pewnej Turczynce. Kiedy miała 16 lat została harfiarką w operze. Grywała w ciągu swego życia partie solowe w słynnych orkiestrach, w paryskiej Operze, w Teatrze Francuskim, pracowała z Walterem, Toscaninim i Straussem, znała Ravela i Roussela, była odtwórczynią dzieł takich kompozytorów jak Debussy, Fauré, Martelli i inni.

Lily Laskine

TEATR SARAH BERNHARDT

■ Od lat piętnastu miejskie władze Paryża debatowały nad stworzeniem popularnego dynamicznego teatralnego ośrodka kulturalnego Sprawa ta stała się niemal obsesją radnych. W całym kraju organizuje się festiwale, powstawały i powstają prowincjonalne domy kultury a stolica Francji poświęcała zaledwie 0,7 proc. swego budżetu na sprawy kultury. Ostatnio postanowiono przeprowadzić renowację i reorganizację teatru Sarah Bernhardt, który stać się ma tym ośrodkiem życia teatralnego o jakim myślano przez lat piętnaście. Interesująca jest historia tego teatru.

Sarah Bernhardt na scenie

W roku 1898 zawarty został kontrakt między władzami miasta, a słynną aktorką Sarah Bernhardt. Oto jeden ze starych budynków teatralnych, wzniesiony jeszcze w roku 1858, a znajdujący się w stanie ostatecznego zaniedbania, władze miejskie odremontują własnym kosztem, znakomita zaś aktorka będzie prowadziła teatr nazwany jej imieniem. Restauracja budynku kosztowała 375 tys. franków.

Sława Sarah przyciągała licznych widzów, miłośników jej niezwykłego talentu. Ale w 1923 roku, kiedy kończył się zawarty na lat 25 kontrakt, aktorka umarła. Później teatr dwukrotnie zmieniał swą nazwę (Théatre du Peuple, potem Théatre de la Cité), by dopiero po wyzwoleniu znów wrócić do swej dawnej nazwy – Teatru Sarah Bernhardt. Obecnie zapadła decyzja, że teatr zostanie gruntownie odnowiony, unowocześniony i przeznaczony na reprezentacyjne festiwale. W budynku ma też być urządzone muzeum poświęcone pamięci wielkiej aktorki.

WYSTAWA FERNANDA LEGERA W VINCENNES

■ Wystawa plastyczna, jak co roku, organizowana przez paryski dziennik „l'Humanité" jest obecnie poświęcona całkowicie bogatej twórczości jednego z największych malarzy naszego wieku, Fernanda Légera (1881–1955). Na wystawie znajdują się nie tylko płótna ale ceramika, rzeźby, tkactwo artystyczne według projektów artysty, rysunki i wyświetlane są filmy, jak słynny film Légera, nakręcony przez niego w roku 1924 pt. „Ballet mécanique".

Fernand Leger w swojej pracowni.

Książki nadesłane

Emil Biela – **„MITY IZYDY"**, Czytelnik, cena zł 10.–

Ernest Bryll – **„MUSZLA"**, LSW, cena zł 10.–

Maryna Cwietajewa – **„POEZJE"**, PIW, cena zł 20.–

Zygmunt Leśnodorski – **„WŚRÓD LUDZI MOJEGO MIASTA"**, Wyd. Lit., cena zł 35.–

Janusz Meissner – **„L JAK LUCY"**, Iskry, cena zł 9.–

Wasyli Aksionow – **„WPÓŁ DROGI DO KSIĘŻYCA"**, Iskry, cena zł 10.–

Stanisław Czernik – **„TRZY ZORZE DZIEWICZE"**, Wł., cena zł 13.–

Kazimiera Iłłakowiczówna – **„PORTRETY IMION"**, W. Poz., cena zł 16.–

Cyryl Zdaniewicz – **„PIROSMANI – MALARZ NAIWNY"**, W. Lit., cena zł 25.–

Lion Feuchtwanger – **„GOYA"**, PIW, cena zł 55.–

William Shakespeare – **„HAMLET"**, PIW, cena zł 25.–

Bolesław Prus – **„LALKA"** tom I/III, PIW, cena zł 30.–

Krzysztof Corlelan – **„SZYBKOBIEGACZE"**, W Lit., cena zł 10.–

Mały słownik polsko-hiszpański i hiszpańsko-polski, WP, cena zł 60.–

Antoni Cicha – **„OKNO DELFINA"**, LSW cena zł 16.–

G. Simenon – **„MAIGRET i STARSZA PANI"**, Czytelnik, cena zł 14.–

P. Rådström – **„MORDERSTWO"**, Czytelnik cena zł 16.–

Rafał Marszałek – **„NOWY FILM ANGIELSKI"**, WAiF, cena zł 20.–

Danuta Buttler – **„POLSKI DOWCIP JĘZYKOWY"**, PWN, cena zł 40.–

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz – **„WBREW ROZKAZOWI"**, Czytelnik, cena zł 30.–

Jan Maria Gisges – **„SPADEK"**, PIW, cena zł 15.–

Szanowny Panie Redaktorze!

W białym, barokowym Łowiczu jest piękne Muzeum — Oddział Narodowego Muzeum Warszawskiego — chyba najładniejsze w naszym województwie. Zajmuje prawie cały bok rynku, zabudowany w podkowę — dawny gmach poseminaryjny, potem gimnazjalny, który mógł poszczycić się takimi wychowankami, jak Chełmoński czy Noakowski. Szczególnie Noakowski rozmiłował się w architekturze stolicy dawnego Księstwa Łowickiego i w jego fantazjach rysunkowych odnajdujemy ciągle dalekie lub bliskie echa białej, mięsistej, łowickiej architektury.

A w całym Muzeum — czego tam nie ma! Na dole dział polskiego baroku z wszelkim

drewnianym, kamiennym, marmurowym i metalowym bogactwem! Na piętrze archeologia, ceramika, kowalstwo, zbroje, księgi, rzeźby itd.; — a jeszcze wyżej, na

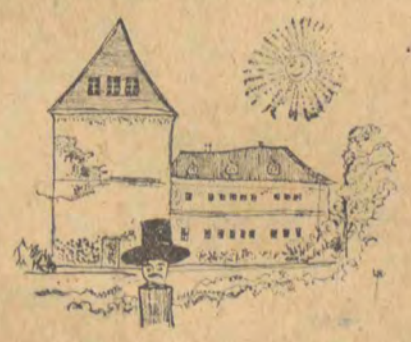

drugim piętrze cała łowicka sztuka ludowa w pełnej krasie. A więc stroje ludowe, narzędzia pracy, plecionki sławne już na cały świat kolorowe, papierowe wycinanki. Jest co oglądać i wycieczek tu co niemiara snuje się w filcowych kapciach po wyślizganych (pewnikiem marmurowych) posadzkach. Ale środek Muzeum, czyli podwórze jest najciekawsze; — urządzono tu bowiem skansen.

Króciutka wiejska uliczka, przy której stoją dwie księżackie chałupy. Jedna biało malowana, kryta trzciną — ta stara, bo z wieku XVIII (ze wsi Gołeńsko) — bardziej surowa i uboga o komorach mieszkalnych ciasnych i słońce niewielkiej; wypełniona prymitywnymi ławami, kredensami i innymi meblami; o polepie zamiast drewnianej podłogi. Ściany malowane z zewnątrz i wewnątrz w wielkie ni to rośliny — ni to ozdoby, wyrastające z ziemi aż po sufit.

Druga chata jest niebieska (ze Złakowa Borowego) jak farbka do bielizny; także malowana w wielkie rośliny z zewnątrz. Posiada okiennice i odrzwia bogato rzeźbione i polichromowane. A wnętrze bogato przyozdobione wycinankami z papieru glansowanego. Podwójny rząd obrazów świętych na głównej ścianie; na każdym stragarzu dawne kwiaty, ludzie i zwierzęta powycinane z kolorowego papieru i przylepione do drewna. W kącie piętrzą się na łóżkach pękate poduchy prawie aż do powały.

Całe wnętrze bardziej rozczłonkowane niż w chałupie pierwszej — więcej izb mieszkalnych; zaraz tu widać większy dostatek — wiadomo, że chałupa ta, a raczej już obejście jest już z okresu popańszczyźnianego — wiek XIX.

Wycinanki mienią się na ścianach, jest krasomi i gwarno od kogutków i zwierzaków papierowych — a na ziemi już nie gliniana polepa, a drewniana podłoga. Całe obejście tworzy czworobok, szczelnie zamknięty stajnią, oborą, drewutnią i wozownią; pod podwórzowymi podcieniami znalazł schronienie wszelki sprzęt gospodarski. Na zewnątrz żuraw studzienny. Wesoło jest w tym domu i chętnie bym tam zamieszkał — bo to i w samym środku miasta i w samym środku wsi jednocześnie.

A obok ogródek, w którym stoją zabawne ule; jeden w kształcie chłopa w czarnym kapeluszu, drugi jako przeraźliwa morda, z której ust wylatują pszczoły. Świątek pod daszkiem i dzwonek na drągu. A w ogródku rośliny: jedne dobre od bólu głowy, drugie na kołtun, trzecie od bólów brzucha, od kolek, od reumatyzmu i wszelkich paskudnych przypadłości; — lub te panieńskie kwiatuszki na urodę, na piękną

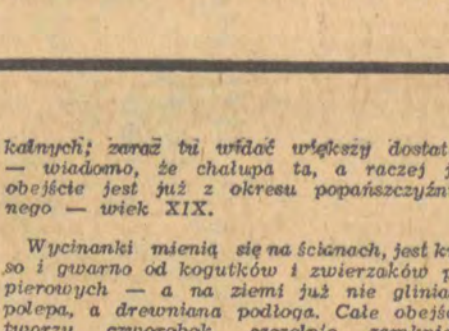

cerę, na połysk włosów lub na utrzymanie przy sobie chłopaka. Skansenik widać znany na całą Polskę, bo co chwila tłoczą się ludzie z różnych stron kraju, jakieś zagraniczne Włochy z przewodniczkami, czy kędzierzawe Murzyny, zaglądające do wnętrza chałup i wybałuszające oczy na te cuda, którymi oblepione są ściany.

Gdy zwiedziliśmy ten kawałek łowickiej

wsi i wróciliśmy na ławeczkę, aby sobie usiąść trochę pod okapem, akurat spotkaliśmy pana Henryka Świątkowskiego, kustosza całego tego Muzeum i twórcę skansenu. Pan Świątkowski niby to poważny, ale ciągle mu się oczy śmieją, jakby wyskakiwały kpiąco spod brwi — opowiada jak to budował w tych chałupach sam starodawne piece, bo nasze łowickie chłopy już zapomniały jak się takie rzeczy robi, a poza tym pytają — za ile? No więc pan Kustosz sam zakasał rękawy, popatrzył na dawne piece, wziął się ostro bez gadania do roboty, — no i proszę! — piece stoją jak byk! — łowickie, że lepszych nie trzeba. Pan Kustosz marzy o zbudowaniu jeszcze jednego skrzydła Muzeum — Przyrodniczego; ale to długa i niełatwa sprawa.

Z panem Świątkowskim rozmawia się wesoło, żywo i szybko — można by bez przesady rzec, że kolorowo i wycinankowo; — lubi sobie pokpiwać i wcale nie wygląda na poważnego i zasłużonego pana, który taką potężną robotę odwalił. I ciągle mu mało; zamierza się na dalszą robotę i zrobi ją, jak Bóg na niebie, albo wycinanka na belce w księżackiej chałupie! Bo ta beztroska, wesołość to tak jakby na pokaz dla gapiów takich jak my, którzy tu przyjechali, aby popatrzeć. Bo w środku pan Świątkowski jest zawzięty jak diabli i żartów z nim nie ma, gdy chodzi o jego Muzeum i ten skansen, dla którego tutaj głównie przyjechaliśmy. Na razie kończę i łączę wyrazy szacunku.

WACŁAW KONDEK

GABRIELA WOHMANN

Spotkanie

Po trzeciej próbie ostatecznie się przekonał, że wszystkie gospody były jeszcze zamknięte. Nie poszczęściło mu się i w kawiarniach: wprawdzie wszędzie otwarte drzwi, ale kelnerki jeszcze bez fartuszków, sprzątały, pucowały, obrzucając go współczującą ironią. Pogoda nie była najpodlejsza, mimo to nie zachwycała perspektywa czekania na ulicy aż do otwarcia lokali. Jeszcze ciągle odczuwał ból w nodze, myślał ze złością o czekającym go spotkaniu. Przypomniał sobie, że są poczekalnie, lecz samo wyobrażenie brązowej przestrzeni uciskało żołądek mączystym zapachem kawy i sennością. Nie miał ochoty poznać miasta. Wolał przedmieścia z człapiącymi gosposiami, z nadąsanymi kasjerami, dziećmi idącymi do szkoły, pojedynczo, w trójkę, świeżo uczesanymi. W kierunku terenów fabrycznych, w stronę miasta jechały ciężarówki — i oto zabiegła mu drogę rzeka. Pragnął przyjść na spotkanie w dobrym nastroju. Całą swą udrękę zrzucał teraz na miasto pozbawione wdzięku. Podążył za ciężarówką, pod wiatr, przebijając się przez hałas, ciążył mu pył cementu. Brzeg rzeki dostępny był w dwóch miejscach: na moście, gdzie tężał ruch, i pod mostem, w brudnej, wilgotnej norze, która była zajęta; w drodze powrotnej do miasta przyszło mu do głowy, że tam czułby się najlepiej. Znowu zdenerwował się na myśl o spotkaniu, o swym i jej poświęceniu, o wyrzeczeniach, które doprowadzały ich do małostkowości, nie były ich godne. Złościł go zgiełk uliczny, pył cementu, zamknięte lokale. Ponieważ wszystko było tak niemrawe i nieprzyjazne, odkrycie cmentarza nabrało wagi sensacji. Długie, proste, nieme ścieżki, groby, wymowne nagrobki, rozgadane milczenie, nazwiska, nazwiska, daty, fotografie, jakieś przypomnienia, wszystko to pokryte liśćmi; pielęgnowane i zapuszczone groby. Liście podłużne, postrzępione, okrągłe, obłe i cienkie liście; z przykrością potwierdzał swą niewiedzę. Przypominał sobie nazwy: topola, dąb, wiąz, świerk, jesion. Jakiś ptak na świeżym wieńcu; bez nazwy. Ciągle jeszcze dokuczał mu ból w nodze. Ale czuł się już lepiej. Wydawało się, że był to jedyny cmentarz w tym mieście, miał dwie kaplice i nowo zbudowaną kolumnadę, a w najstarszej części coś w rodzaju lasu z dziwnymi, ciężkimi, mrocznymi drzewami. Spacerował pod górę, w dół, próbował wyobrazić sobie zbutwiałe trumny, rozsypujące się kości, śmierć. Przyłapał się na tym, że w tej dziedzinie również nie był mocny: nie potrafił zestawić dat z rozpadem. Odczuwał spokój i smutek. Umknął przed mężczyzną w błękitnym mundurze, ogrodnikiem, urzędnikiem czy kimś z funkcjonariuszy cmentarza, który przyglądał się spacerowiczom z zawodową podejrzliwością. Jednakże udało mu się wcale dobrze przybrać smutny wyraz twarzy, bo pomijając to, że istotnie był smutny, bolała go wciąż noga, potrzebował wody, mydła, ręcznika, ubikacji, był głodny, irytowało go rychłe spotkanie. Ale uspokoił się stwierdzając, że nie było tutaj ani jednego grobu, który by przedstawiał jakieś znaczenie dla niego. Uspokoiła go cicha świadomość winy na wspomnienie kilku grobów, które musiały mieć dla niego jakieś znaczenie. Hałas uliczny, dochodzący spoza sosen, stojących na straży, słychać było jak unisono żałobnej muzyki. Wobec mężczyzny w niebieskim mundurze udał, że szuka pewnego grobu, chętniej by usiadł na ławce.

— „Czy mogę panu pomóc?" To, co uważał za ostrożność, okazało się lekkomyślnością. Zasępione zdrowe oblicze dozorcy — „O jakie nazwisko chodzi?"

W ciągu tych paru sekund, potrzebnych do refleksji, aby nie wzbudzić podejrzenia, dobył z siebie jakiś głos, jakby ze snu, pozostający poza jego wpływem. Ów głos, a nie myśl, poddał mu to słowo. Zapłata. Słowo, teraz nazwisko. Nie zastanawiał się, co było stosowniejsze: czy podać jakieś zwykłe nazwisko, czy takie wyszukane. Skądże ten lęk, który nakazywał mu w ten sposób reagować, jakby schwytano go na gorącym uczynku.

„Zapłata?" Dozorca powtórzył, urwał, i w tej przerwie dość było czasu na wahanie między urzędową zręcznością a urzędowym współczuciem. „Proszę iść za mną".

Poszedł za nim dość długą ścieżką do grobu Zapłaty czy rodziny Zapłaty, którego wmawiał sobie z uporem. Zaciekawiło go to, smakował w tym przedsięwzięciu; wprawdzie dokuczała mu jeszcze noga, lecz oswoił się już z bólem. Grób, przy którym zatrzymał się zakłopotany dozorca, oddalając się po chwili taktownie, z należnym współczuciem, rozczarował go. Nie był bowiem ani zbyt kiczowaty ani też nazbyt dyskretny, nie usposabiał do kpinek, nie prowokował do bluźnierstwa czy czegoś podobnego. Na sześciostopniowej płycie z granitu, dość szerokiej i masywnej, błyszczała tablica z czarnego marmuru, upamiętniająca siedmiu członków rodziny Zapłaty: Edwarda, Alfreda, Martę, Reinholda, małego Michałka, doktora Edwarda i Lusię naszego aniołka. Zauważył, że nie zachodziła żadna analogia między którakolwiek z dat a liczbami z jego życia. Ani z numerem jego domu, ani z jego wiekiem. Ani nawet z sumą liczb numeru konta. Jednak pozostał. Grób był nieco przybrany, ucieszył się, że znał nazwy kwiatów, rosnących w dwóch rzędach: begonie. Przypomniał sobie skrzynkę z kwiatami, stojącą na oknie u jego matki. Begonie i petunie. Wciągał zapach zupy, gorące południe, na dole grali w piłkę. To było coś. I bluszcz, gdzie bluszcz rośnie. Naturalnie na grobach, które zaniedbał, zajmując się rodziną Zapłaty. Wysoko narosły dywan z bluszczu na obrzeżonej marmurem płycie, która pokrywała grobowiec, ci wszyscy tutaj z braku mieszkań musieli dzielić tę kwaterę niczym przeciwlotniczy schron.

Ponownie sprawdził liczby i odnalazł jedną dwójkę i jedną dziewiątkę, które zgadzały się z sobą: tyle miał lat. Myśl o czekającym go spotkaniu rozeźliła go naraz bardziej niż przedtem bardziej niż ból nogi, głód, zmęczenie. Teraz oto stał przed tym grobem, czemuż nie miał podjąć tej podróży, ażeby odwiedzić ten grób. Był to zamiar, który uwolnił go od wszystkiego. Był zadowolony, bo spoczywały pod nim wszystkie usprawiedliwienia, opancerzone bluszczem. Oto cel, dziwaczny, skierowany do wnętrza, pełen skruchy.

Rozmyślał: przecież ją jej już prawie nie znam. Dwadzieścia dziewięć. Nie była w moim typie i nie będzie — spojrzał na zegarek — za trzy kwadranse. Lecz to, to tutaj; obcy grób, kto na was czeka, Edwardzie, Marto, Lusiu nasz aniołku, mały Michałku, co próbowaliście osiągnąć, co wam się nie powiodło — to jest coś; poczciwość begonii, matka, niepowodzenia, ogród warzywny, zapach przybliża się tuż po wybiciu piłki, to jest coś, ten co pozostał, okryty żałobą, wielu mnie opuściło, dobre przyćmione poczucie winy, szlachetne, łagodne, smutne słowo: wstrząs. Słowo: śmierć. Spij spokojnie. Wszystko znowu możliwe, teraz. Nareszcie.

Zapłata. Czemu nie Schmidt, dlaczego nie Emmeerman, Koppig, Meier, czy ja wiem kto? Zapłata. Jeśli już, to symboliczna. Więc odjeżdżać, wracać, przez Zapłatę moja zapłata, moja nagroda.

Spojrzał na zegarek, był głodny, nawet gdy stał, bolała go noga, potrzebował ubikacji. Byłoby nieprzyzwoitością nie stawić się na spotkanie. Zawrócił długą wyżwirowaną ścieżką, obok kolumnady, pomiędzy kaplicami dostrzegł dozorcę, skinął mu ręką, dozorca był jakiś markotny, słyszał, jak skrzypi żwir, coś sprawiało mu ból, zbliżał się, coraz bardziej przybliżał się zgiełk uliczny, był już tuż, brutalny. Długie, postrzępione, wygięte, obłe liście, nie wiedział jak się nazywają, nie zastanawiał się: jesion, dąb, grab, gęstwina krzewów, liście liście liście liście.

Przekład:

STANISŁAW KASZYŃSKI

Zbigniew Lagocki. Erotika.

Lewym okiem

RASA MĘSKA

Zabawną teorię sformułowała w jednym z ostatnich numerów „Kobiety i Życia", felietonistka tego pisma, Karolina. Nawiązując do szeroko w prasie dyskutowanej sprawy większej umieralności mężczyzn, ich niższej żywotności w porównaniu z płcią piękną, Karolina twierdzi, że nie ma się czemu dziwić, bo przecież mężczyźni od tylu wieków piją alkohol, palą nikotynę, niszczą się różnymi używkami i nadużywkami, że wreszcie drogą dziedziczenia zdegenerowali się i oto skutki.

Zabawne. Karolina widocznie rozróżnia dwie odrębne rasy ludzkie: zdegenerowaną rasę mężczyzn, dziedziczących z dziada pradziada skutki wesołych kolacyjek, i lepszą rasę kobiet, obcinającą kupony z cnotliwego życia prababek. Jak sobie Karolina wyobraża dziedziczenie męskie? Syn po ojcu? A córka po ojcu nie? A syn po matce nic? Tylko córka po matce i wnuczka po babce, a panowie niczego tu nie wnoszą? Wydaje mi się, że te dwie rasy przez tyle stuleci tak często się ze sobą krzyżowały, że całe potomstwo jak leci ma już cechy mieszańców. I że w ogóle teoria jest fantastyczna!

Prawdą jest natomiast, że mężczyzna jako osobnik żyje głupiej, bardziej rabunkowo, nieoględnie, lekkomyślnie, niż rówieśna mu kobieta, i niezależnie od odziedziczonych po obojgu rodzicach uwarunkowaniach fizycznych, marnuje swoje siły szybciej. To prawda. A zwłaszcza prawda z tym alkoholem.

Ale cóż: od roku prawie że nie ma w sprzedaży ćwierćlitrówek, tak jak od wielu lat nie ma w lokalach kieliszków mniejszych niż pół setki. Takich „kieliszków", a właściwie szklanek, jak u nas, nie podają do wódki nigdzie na świecie. Dlaczego nie ma ćwiartek? Dlaczego trzeba od razu odbić pół basa, a jak już się odbije, to szkoda zostawić? Czy nie opłaci się transport i sprzedaż w mniejszych dozach, czy nie ma tych mniejszych butelek, a jeśli nie ma to czy dlatego, że się nie opłaci ich produkować? Czy nie ma „przepustowości" i nie nadąża się z produkcją? Chyba nie, bo przecież zwrotnych ćwiartek nikt nie skupuje. Widocznie jest ich dosyć. A do różnych wód kolońskich opłaci się produkować różne szklane cudeńka, i to w krótkich seriach, i to wody te wcale nie są ani droższe, ani bardziej „akumulatywne" niż żytniówka i czysta z czerwoną kartką.

Myślałem, że to błędy dystrybucji, że w Łodzi same litry i półlitry, a w Warszawie — minićwiarteczki. W Warszawie jednak jeszcze trudniej o ćwiartkę. W Krakowie zaś, u sławnego Hawełki po remoncie, nawet w karafce do stolika nie podadzą mniej niż pięćset gram. Albo na kieliszki, albo pół litra. Więc na każdym stoliku stoi flacha, bo na kieliszki to i za drogo, i za długo czekać za każdym kieliszkiem godzinę na kelnera. Taka flacha na dwie osoby do kolacji wystarczy, żeby po tych osobach coś niecoś się potomstwu dostało.

O budkach z piwem pisano już setki razy. Czytałem już nawet o specyficznej formacji społeczno-kulturalnej: „formacja budki z piwem". Widok kilkunastu rozognionych, rozczochranych, zataczających się i rzucających soczyste słowa mężczyzn dokoła kiosku, kałuże pod nogami i zacieki na ścianach okolicznych domów, to znany wszystkim obrazek, to już niemal folklor. Więc żeby było folklorystycznie, oprócz restauracji na Dworcu Fabrycznym, bufetu stacyjnego i kiosku przed stacją, uruchomiono jeszcze bardzo przenośne stoisko za ogrodzeniem, na pierwszym peronie, przy wejściu. Nic nie ma, tylko sterta skrzynek z piwem i stolik do inkasowania pieniędzy. Kufle niepotrzebne, pije się z butelki. Płukanie żadne niepotrzebne. Ruch w interesie ogromny.

Interes czynny od wczesnego świtu. Z całej koluszkowskiej linii walą rano tłumy do Łodzi, do pracy. Panowie zatrzymują się na parę minut, machną dwie trzy flaszki na czczo i już się idzie do roboty na lekkim rauszu. Bez czekania, siadania, celebrowania — raz dwa, pod płotem, aby ten rausz. Czy i takie wychodzenie przez handel naprzeciw klienta należy popierać? Czy to nie lekka przesada?

L'occasion fait le larron — powiadają Francuzi. Czyli: okazja czyni człowieka złodziejem. Nie dawajmy ludziom za dużo i zbyt łatwych okazji do nadużywania alkoholu. Coś by trzeba zadziałać i z tymi ćwierćlitrówkami, i z kielichami jak wazony do kwiatów, i z rzeką okropnego piwa na ulicach miast. Po co nam się mają mężczyźni degenerować?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2370. IX. 68. P-5